# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

**Wychodzi każdej soboty.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 472.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 28. lipca 1917. Nr. 30.



# Odwet na Wschodzie.



Niemiecko-tureckie wojska pod Brzeżanami.

# Odwet na Wschodzie.

Pod naciskiem Anglii, Francyi i Ameryki wojska Rosyi rewolucyjnej rozpoczęły ofenzywę w Galicyi wschodniej. Rewolucyjny minister wojny, Kierenskij, sam osobiście objeżdżał front wojsk rosyjskich i wysyłał pułki do walki pod „czerwonym sztandarem rewolucyi“. Na początku bieżącego miesiąca w ofenzywie rosyjskiej udało się rzeczywiście armiom rosyjskim uzyskać pewne sukcesy na południe od Dniestru — wszędzie indziej odparto je krwawo. Na wiadomość o tych sukcesach, koalicyoniści na Zachodzie zacierali już ręce, mniemając, że to już początek ostatecznego pogromu mocarstw centralnych.

Ale niedługo mogli się cieszyć tem drobnem powodzeniem.

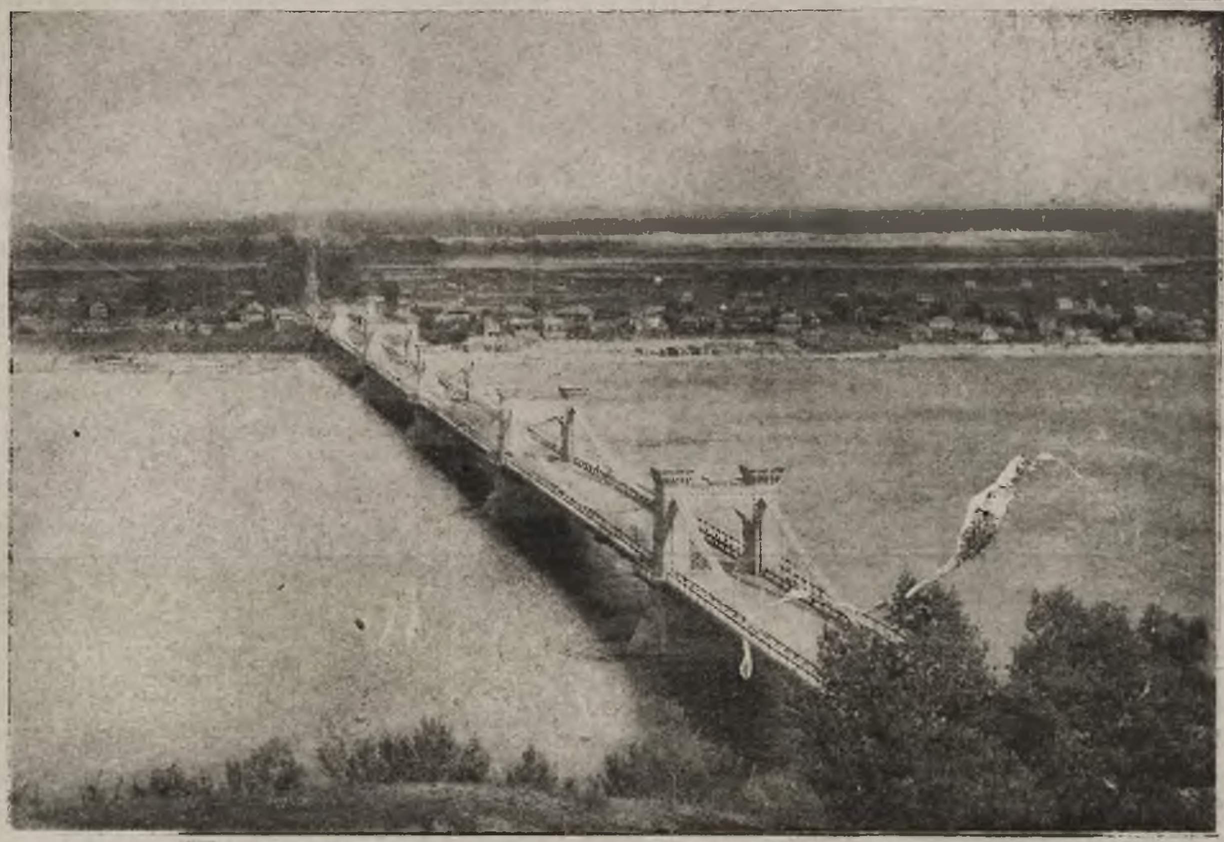
W odpowiedzi na ofenzywę Kierenskiego, mocarstwa centralne przeszły same w dniu 19. b. m. do kontrofenzywy. Moment dla tej akcyi wybrano bardzo trafny, tuż po wyczerpaniu się ofenzywy rosyjskiej w obu jej ogniskach, pod Brzeżanami i Kałuszem. Kontrofenzywa wyszła na prawej flance wojsk rosyjskich, skoncentrowanych jeszcze w ofenzywie brzeżańskiej z odcinka między Zborowem starym nad Strypą a najgórniejszym biegiem Seretu na przestrzeni blisko 50 kilometrów.

Zaraz początek tej kontrofenzywy był świetny. Wyszedłszy od Zborowa—Koniuchów, gdzie Rosyanie tak wielkie straty ponieśli dla małego przejściowego powodzenia, odrazu przełamała ona rosyjskie linie na szerokim froncie, dając jeńców i łup. Dalszy jej rozwój taki miał przebieg podług komunikatów sztabu niemieckiego i austro węgierskiego:

„Kontratak, prowadzony z obu stron kolei Lwów—Tarnopol pod dowództwem generała marszałka, ks. Leopolda bawarskiego, postępuje skutecznie naprzód. Austro-węgierskie pułki odzyskały z powrotem pierwszą linię na północny wschód od Brzeżan, utraconą z początkiem lipca. Siły bojowe niemieckie i austro-węgierskie, posuwające się w kierunku na Augustówkę, Jezierną i Nesterowce, przekroczyły te miejscowości. Napieraniu sprzymierzonych Rosyanie stawiali miejscami gwałtowny opór, który musiano łamać ostrem wkraczaniem. Nasze ruchy zaczepne we wschodniej Galicyi mają przebieg zamierzony. Siły rosyjskie cofają się pospiesznie, dotąd tylko części ich stają do walk w tylnych strażach. Nasze wojska, ścigając energicznie wroga, przekroczyły na szerokości 40 klm. drogę Złoczów—Tarnopol po obu stronach Jezierny. Gdzie nieprzyjaciel stawiał czoło, został szybkim atakiem pokonany. Podobnie jak w poprzednich latach, palące się miejscowości i wielkie spustoszenia znamionują drogę, którą się cofają Rosyanie.

Walki w Galicyi wschodniej przemieniają się w gwałtowny cios, zadany armii rosyjskiej. Także masy rosyjskie na południowy wschód od Brzeżan rozluźniają się. Podjęto pościg w kierunku Kozowej. Miasto Tarnopol i liczne miejscowości na wschód od Seretu stoją w płomieniach. W Jeziernej zdobyto wiele materyału wojennego. Liczby jeńców nie można było jeszcze ani w przybliżeniu ustalić.

Rozpoczęty 19. lipca kontratak we wschodniej Galicyi rozrósł się w wielki sukces niemieckiej i sprzymierzonej broni. Główna część 11-tej armii rosyjskiej jest pobita. W zaciętych nieraz walkach armie nasze pobiły wszędzie wojska rosyjskie, pró-



**Przebudzenie się Ukrainy**: Kijów — most łańcuchowy przez Dniepr.



**Odwet na Wschodzie**: Bohaterski batalion, broniący Koniuchów.

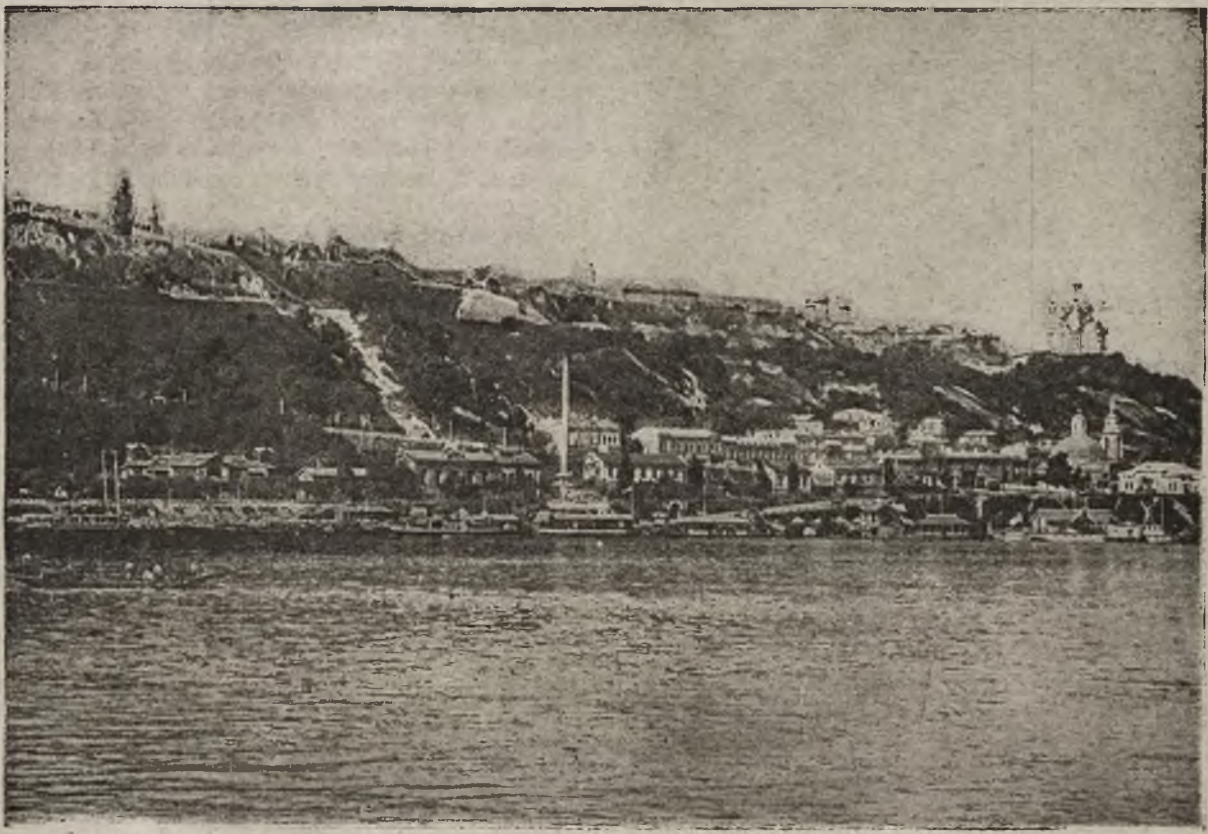
bujące na nowo stawić czoło. Liczba jeńców i zdobyczy jest wielka. W Jeziernej wpadły nam w ręce bogate zapasy aprowizacyjne, materyału strzelniczego i sprzętu wojennego.

Podobnie jak podczas wielkiego odwrotu rosyjskiego w r. 1915 w Galicyi i w Polsce, wojska, dowodzone przez Kierenskiego, przez osobne kompanie podpalaczy, uzbrojone granatami ręcznymi, zapalają wszystkie miasta i miejscowości, które muszą pozostawić zwycięzcom. Palące się miejscowości znaczą drogę uciekających Rosyan. Podobnie, jak przy poprzednich odwrotach, gościńce i drogi są pełne sprzętu wojennego, porzuconych sztuk uzbrojenia, przewróconych samochodów, ugrzężniętych wozów. Liczba jeńców i zdobyczy rośnie z godziny na godzinę".

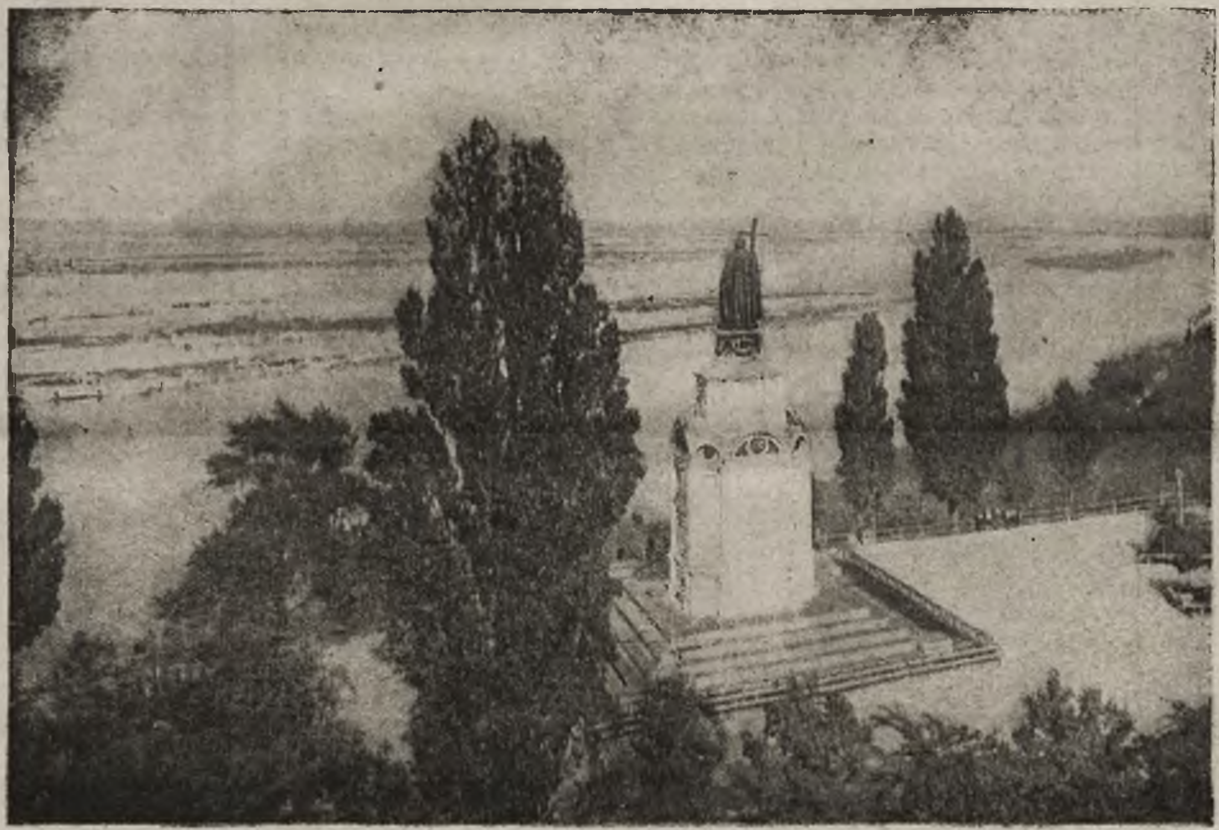
A oto jak sami Rosyanie w urzędowym komunikacie przyznają się do tej klęski, a zarazem ją tłumaczą:

„Po silnem przygotowaniu dział, nieprzyjaciel kilkakrotnie zaatakował nasze wojska na froncie Pieniaki—Harbuzów, 30 wiorst na południe od Brodów. Z początku wszystkie ataki zostały odparte. Około godziny dziesiątej pułk, który się znajdował na odcinku Batków—Manajów (zdjęcia z pozycyi rosyjskich w trzech liniach rowów pod Manajowem, dokonane przez austro węgierskich lotników, podajemy na jednej z naszych illustracyi), opuścił z własnego popędu swoje rowy strzeleckie i cofnął się, co wywołało także cofnięcie się sąsiednich części wojska i dało nieprzyjacielowi możność rozszerzenia swego sukcesu. Nasza klęska tłumaczy się tem, że wiele części wojska, pozostających pod wpływem agitacyi maksymalistów, mimo otrzymanego rozkazu, żeby wspierały zaatakowane wojska, urządzało zgromadzenia i naradzało się na nich nad tem, czy mają wykonywać rozkazy, oraz i tem, że wiele pułków odmówiło pełnienia swych powinności wojskowych i opuściło swoje pozycye bez wszelkiego nacisku ze strony nieprzyjaciela. Wysiłki wodzów, tudzież komitetów, żeby je skłonić do wykonywania rozkazów, pozostały daremnymi".

Te tłumaczenia oczywiście klęski rosyjskiej nie usnną. Jest ona wielką, może przejść w pogrom zupełny. W chwili, gdy to piszemy, armie niemieckie i austryackie stoją tuż pod Tarnopolem, stolicą części Galicyi wschodniej, okupowanej przez Rosyan, która od początku wojny znajduje się w ich rękach. Wzięcie go oznaczałoby wyparcie Rosyan z Galicyi. W każdym razie już i tak mocarstwa centralne wzięły na Wschodzie zupełny odwet za krótkotrwałe powodzenie militarne rosyjskich armii „republikańskich".



**Przebudzenie się Ukrainy**: Kijów — widok na miasto zza Dniepru.



**Przebudzenie się Ukrainy**: Kijów — pomnik księcia Włodzimierza św.

## Przebudzenie się Ukrainy.

Jednem z najważniejszych może następstw rewolucyi rosyjskiej jest przebudzenie się Ukrainy do samodzielnego życia narodowego. Południowa Rosya ze swą przeważnie ukraińską ludnością, którą uważano dotąd za niewyłączalną część składową Rosyi, zapragnęła nagle autonomii, samodzielności terytoryalnej, ba nawet niepodległości państwowej. — Olbrzymi a żyzny kraj, obejmujący dorzecza Dniestru, Bohu, Dniepru i Donu, najżyźniejsze czarnoziemne obszary, produkujące dwie trzecie zboża rosyjskiego i jedyne w Rosyi zagłębie węglowe nad Donem, zapragnął nagle oddzielenia się od Rosyi. W Kijowie odbyły się liczne kongresy ukraińskie: włościański, wojskowy, religijny, wreszcie ogólnonarodowy, na których proklamowano samodzielność Ukrainy; odbyły się także olbrzymie, setki tysięcy uczestników liczące demonstracye za tym samym postulatem.

Jako wyraz tych dążeń powstały w Kijowie i na całej Ukrainie liczne organizacye narodowe ukraińskie. Wszystkie one wystawiły jedno hasło. W przeszłym numerze „Nowości" podaliśmy treść „uniwersału", jaki zjazd kijowski wystosował do narodu ukraińskiego i do rządu rosyjskiego. Obecnie przytaczamy odpowiedź na ten memoryał i wogóle na wypadki na Ukrainie ze strony rosyjskiego rządu rewolucyjnego w Petersburgu, ogłoszoną przez urzędową agencyę petersburską. Brzmi ona następująco:

„Po złożonem sprawozdaniu ministrów Kiereńskiego, Tereszczenki i Ceretellego w kwestyi ukraińskiej, powziął rząd tymczasowy następującą decyzyę:

Ustanawia się osobny sekretaryat jeneralny, jako wyższy organ dla administracyi spraw ukraińskiego terytoryum. Skład personalu tego sekretaryatu złożonym będzie z osób, ustanowionych przez rząd w porozumieniu się z ukraińską radą centralną, która ma być uzupełnioną przez przedstawicieli innych Ukrainę zamieszkujących narodowości. Projekty



**Niemiecka ofenzywa na Zachodzie**: Odprowadzanie jeńców poza front



**Aresztowanie Piłsudskiego**: Brygadyer Józef Piłsudski.

wypracowane przez radę centralną w kwestyach organizacyi narodowej i politycznej Ukrainy oraz w sprawie rozwiązania kwestyi Ukrainy, mają być przedłożone konstytuancie.

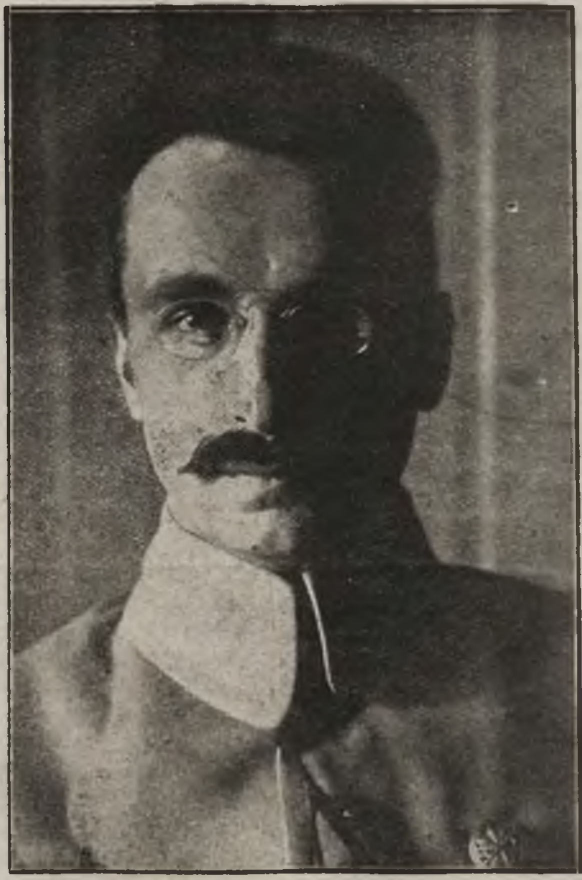
Rząd tymczasowy uważa za niedopuszczalne takie zarządzenia, które w obecnej chwili niszczyłyby jednolitość armii przez natychmiastowe wprowadzenie systemu terytoryalnego uzupełniania korpusów lub przez przeniesienie praw komendy na tę lub ową organizacyę socyalną. Poza tem uważa rząd za możliwe przyczynić się w dalszej mierze do najściślejszego narodowego zjednoczenia Ukraińców w szeregach armii, jakoteż dla uzupełnienia poszczególnych oddziałów wyłącznie przez Ukraińców, o ile minister wojny uzna, że nie przyczyni się to do zmniejszenia bitności armii. Dla osiągnięcia tego celu w sposób racyonalny, ustanowieni będą delegaci ukraińscy przy ministrze wojny, przy sztabie jeneralnym i przy naczelnym wodzu. Powinno nastąpić uzgodnienie działalności miejscowych komitetów ukraińskich wojskowych z innemi organizacyami wojskowemi".

Jak widać z tej odpowiedzi, rząd petersburski nie zgadza się na samodzielność Ukrainy, na utworzenie osobnej ukraińskiej armii i t. d., co najwyżej na autonomię terytoryalną Ukrainy. Ale bo też usamodzielnienie Ukrainy, utworzenie z jej obszaru mniej lub więcej odrębnego państwa oznaczałoby dla Rosyi nie tylko pozbawienie jej najpiękniejszego terytoryum, nie tylko zmniejszenie obszaru państwa, ale także odgrodzenie Rosyi od jedynych posiadanych przez nią ciepłych mórz — Czarnego i Azowskiego — odcięcie drogi do wymarzonego Konstantynopola. Rzeczywiste przebudzenie się Ukrainy byłoby hasłem „zaśnięcia" albo i zupełnej śmierci mocarstwowej dla państwa rosyjskiego.

## Aresztowanie Piłsudskiego.

W poniedziałek około południa rozeszła się po Krakowie wieść, iż w Warszawie aresztowały władze niemieckie brygadyera Piłsudskiego. Na razie wierzyć temu nie chciano, komunikaty wieczornych pism przyniosły przecież potwierdzenie. Sprawa ta, która stała się przedmiotem ogólnej dyskusyi, dała też sposobność do różnych przypuszczeń i domysłów, wszyscy, nawet ci, którzy polityką się nie zajmują, mówili tylko o Piłsudskim i jego uresztowaniu.

Wedle informacyi, zaczerpniętych z pism warszawskich, w dniu 22. lipca b. r. o godz. 4 rano zjawili się w pomieszkaniu b. komendanta I. brygady i b. członka Rady Stanu, Józefa Piłsudskiego, przy ulicy Służewskiej 5, funkcyonaryusze policyi niemieckiej i przyaresztowali go. Mieszkanie zostało opieczętowane. Pociągiem pospiesznym o godzinie szóstej rano, idącym w stronę Niemiec, został Józef Piłsudski wywieziony. Wedle krążących wieści ma on być internowany w jednem z miast niemieckich.



**Aresztowanie Piłsudskiego**: Były szef sztabu pierwszej brygady Legionów, podpułk. Kazimierz Sosnkowski, aresztowany równocześnie z Piłsudskim.

Równocześnie został przyaresztowany i również wywieziony b. szef sztabu I. brygady Kazimierz Sosnkowski.

Komisarz niemiecki hr. Lerchenfeld zawiadomił Radę Stanu, że powodem aresztowania Piłsudskiego był fałszywy dokument podróży, jakiego użył ostatnio podczas podróży do Krakowa i z powrotem, zaś aresztowanie Sosnkowskiego nastąpiło na skutek organizowania nielegalnych związków wojskowych.



**Niemiecka ofensywa na zachodzie**: Obsadzenie leja bezpośrednio po wybuchu

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

8

— No, to się przeleży w szpitalu, wyzdrowieje i koniec!...

— Jak ty to obojętnie mówisz!...

— Mówię tak, jak jest i radzę ci, żebyś się nie zamartwiała. Lepiej pamiętaj, żebyś dobrze wyglądała, żebyś była ładna i świeża, to wtedy Konrad...

Urwała nagle i wpatrzyła się w bratową, tak, jakby ją po raz pierwszy widziała.

W czasie rozmowy kołdra zesunęła się z Józi aż do jej obnażonych, małych, niezwykle kształtnych różowych stóp.

Rozchylony kaftanik i głęboko wycięta, batystowa koszula odsłaniały śnieżną, przecudnie utoczoną szyję, łączącą się miękką linią z klasycznie pięknemi ramionami — pozwalały widzieć ciało jędrne, gładkie, białe, zlekka tylko prześwietlone odblaskiem młodej, zdrowej, rubinowej krwi... Ciało niby marmur ciepły i różowawy.

Cienki batyst koszuli wznosił się na drobnych, lecz wysokich, okrągłych piersiach.

Napół rozplecione warkocze spływały po poduszce, o którą Józia była oparta. Światło lampki nocnej padało wprost na te złocisto-bronzowe sploty i tworzyło połyskliwą aureolę dla twarzy ślicznej, słodkiej, zadumanej, rozświetlonej turkusowemi głębiami oczu.

Lola, która widywała dotychczas Józię tylko w sukniach, nie uwydatniających należycie jej kształtów i osłaniających przecudną karnacyę ciała, zdumiała się.

Nie widziała jeszcze nigdy tak doskonale pięknej kobiety.

— Jakaś ty cudna! — chciała zawołać w pierwszym porywie zachwytu, ale coś ją powstrzymało.

W puhar bezinteresownego estetycznego podziwu dla piękna wsączyła się nagle kropelka osobistej goryczy.

Mała, malutka jeszcze kropelka, ale przecież Loli zrobiło się jakoś nieswojo. Zakłóto ją zlekka żądełko zazdrości.

— Jak ja przy niej wyglądam?... — pomyślała panna Żarnicka, spoglądając na swoje chude ręce, płaską pierś, spiczaste ramiona, anemiczną skórę i liche, rzadkie włosy, które jej z powodu częstych bólów głowy całymi pękami wychodziły przy czesaniu.

— Ileż ty masz lat, Józiu? — zagadnęła po chwili milczenia.

— Skończyłam dziewiętnaście.

— Tak?! Ależ to my jesteśmy prawie w równym wieku, bo i ja kończę niedługo dziewiętnaście... Myślałam, żeś ty starsza...

— Dlaczego? Czyż tak staro wyglądam?

— O! Nie, wcale staro nie wyglądasz... Przeciwnie, twarz masz młodziutką, dziewczęcą, dziecinną prawie, tylko, że tak... to już jesteś taka rozwinięta... no, taka dojrzała kobieta...

Józia uśmiechnęła się lekko. Nie poraz pierwszy słyszała słowa podziwu nad przedwczesnem rozwinięciem swoich posągowych kształtów.

Ona nie miała tych okresów przejściowych od dziecka do podlotka, od podlotka do dorosłej panny.

Z małej ładnej dziewczynki wyrastała na ślicznego podlotka, a potem odrazu rozkwitła całą pełnią kras i ponęt piękna kobieta.

W tym najniewdzięczniejszym dla innych nawet ładnych dziewcząt wieku, kiedy to podlotki stąpają niezgrabnie na nazbyt długich, chudych nogach, nie wiedząc co robić z zaczerwienionemi rękami, kiedy suknie wiszą na nich, jak na kołkach i uwydatniają szpiczaste ramiona, w czasie kiedy cera pozostawia dużo do życzenia, a rysy są mętne, niewyraźne — wówczas nawet Józia nie zatraciła swoich ślicznych linii, czystej cery, zgrabnych ruchów, a nadewszystko nie postradała ni na jeden dzień tego niezwykłego wdzięku, który zwracał ku niej zawsze ludzkie oczy i podbijał serca.

— To już ja taka jestem... To mówiły mi także koleżanki... Jak miałam czternaście lat, to mi się już zdarzało, że mnie dorośli mężczyźni zaczepiali na ulicy, albo też w towarzystwie mówili mi komplementy, jakie się tylko starszym pannom mówi... — powiedziała leniwie Józia. Nie miała zupełnie zamiaru przechwalać się, powiedziała to sobie ot, tak, jak rzecz zwykłą i naturalną, która była i koniec!

Czarne oczy Loli poczęły błyszczeć, jak dwa rozżarzone węgle.

— A kochał się już wtedy kto w tobie, co?

— Tak! Rozmaici studenci, a najwięcej to już jeden... Koleżanki wmawiały we mnie, że i nauczyciel matematyki i że dlatego gospodyni klasy — straszna była jędza — prześladuje mnie, bo ona... Ale to pewnie była nie prawda, bo gdzieżby on w takiej smarkatej... Swoją drogą, to ja miałam „pecha", że mi nieraz takie rzeczy wmawiali, kiedy się komuś ani śniło...

— A ty kochałaś się?! — indaguje dalej Lola z rozbłysłym zaciekawieniem wzrokiem.

— O! Chyba kilkanaście razy!... I to we dwóch, albo we trzech naraz!... Jak tylko który był ładny i ładne wiersze umiał pisać, a choćby nawet i przepisywać... Ogromnie lubiłam wiersze... Ale z czasem, to mi się strasznie te chłopaczyska uprzykrzyły... Przeszkadzali uczyć się i ciągle przez nich miałam awantury, miałam i w domu i w szkole... A szczególnie, to już przez tego, co to chciał strzelać się, a potem jechać z rozpaczy do Ameryki, ale nie zastrzelił się i nigdzie nie pojechał, tylko musiał klasę „repetować".

Lola zdaje się pożerać słuchem każde słowo bratowej. Pochyla się nad nią i z tą niezdrową ciekawością, właściwą nadmiernie strzeżonym wychowankom internatów, anemicznym pensyonarkom, maminym córeczkom, odgradzanym starannie od życia, pyta urywanym głosem:

— Powiedz!... A całowałaś się z nimi?... Co? Powiedz!...

Józia zaczerwieniła się i szarpnęła swoją rękę z zimnej, wilgotnej dłoni bratowej.

— A dajże mi święty spokój!...

— Więc powiedz!... Całowałaś się?!

— Nie!

— Nie mówisz prawdy!

Teraz Józia zaperzyła się jak mała dziewczynka, której niesłusznie zarzucono kłamstwo.

— Właśnie że prawda!... Miałabym się też z każdym całować!... Także coś!... Najwyżej, żebym pozwoliła w rękę się pocałować!

Lola westchnęła. Jej jeszcze żaden mężczyzna w rękę nie pocałował.

— Zresztą to nie były żadne prawdziwe miłości, tylko takie sobie dziecinne zawracanie głowy!... Później dopiero dowiedziałam się, co to jest miłość.

— Kiedy poznałaś Konrada?

— Tak!

— No, a jak z Konradem było?! Gadajże!...

Loli płonęły oczy. Tyle się nasłuchała drażniących niedomówień o „romansie" brata z Maliniewiczówną. Słyszała o „skandalu", „kompromitacyi", narzucaniu się, więc paliła ją ciekawość.

Ale Józia ociągała się jakoś ze zwierzeniami. Chwile spędzone w Pradze z Konradem były to dla niej wspomnienia tak piękne, tak urocze, tak drogie, że nie miała wcale ochoty opowiadać o tem ni stąd ni zowąd.

Jednej Anielce zwierzyła się bez zastrzeżeń, ale Anielka to była zupełnie co innego niż Lola. Józia, pomimo życzliwości, jaką jej okazywała panna Żarnicka, nie mogła się pozbyć uczucia lekkiego niedowierzania względem siostry Konrada. Instynktownie obawiała się jej trochę.

Może dlatego, że Lola zakrojem i wyrazem ust przypominała mocno matkę, a może też niepokoił Józię ten utajony ogień, który płonął w przygasłych napozór czarnych oczach panienki.

— Ona musi być straszna, jeżeli się na kogo rozgniewa — przemknęło raz Józi przez myśl, kiedy spoglądała na spokojną, chłodną, obojętną twarz Loli — i zawzięta.

— Dlaczego nie chcesz mówić?! — nalegała Lola — Jakże było z Konradem?!

Józia zrobiła w duchu uwagę, że szwagierka jej nie odznacza się wcale wysubtelnioną delikatnością.

— Jakże być miało?... Poznaliśmy się...

— Gdzie? Jak? Kiedy?

— Przypadkiem.

— No i co dalej?

— Jakoś ja się jemu spodobałam, on mnie i tyle.

— Ale z nim to całować się, prawda?! O! Nie zapieraj się!... A... a może i co więcej? — szepcze tajemniczo Lola.

— Lolu, przestań!... Jak możesz!...

Józia sama dziwi się sobie, że ona, którą nazywano zawsze „zepsutą" kokietką i która przecież jest już obecnie mężatką, czerwieni się tak ogniście, tak dziewiczo, wobec tej bez zarzutu ułożonej „skromnie" wychowanej córki mamy Żarnickiej, wobec tej pensyonarki niedawno wypuszczonej z murów internatu klasztornego.

— Przestań, Lolu! — powtarza, ale już jakimś proszącym tonem. Nie chciałaby obrazić Loli, ale nie może jej przecież odpowiadać na takie pytania.

— A dlaczego później zerwaliście? — pyta dalej Lola, nie chcąc porzucić tak interesującego tematu rozmowy.

— Tak się to jakoś stało. — odpowiada niechętnie bratowa.

— A później ty byłaś zaręczona z innym?

— Tak! — po twarzy Józi przesuwa się cień smutku, jak zawsze, gdy ktoś przypomina jej Michnika.

— A on cię kochał, ten twój narzeczony?

— O! Bardzo! — odpowiada cicho Józia.

— A ty jego nie?

— Lubiłam go, bo był dobry i miły, ale nie kochałam, no bo wiesz przecie...

— A dlaczego zaręczyłaś się z nim?

— Bo mnie ojciec chciał gwałtem wydać za innego, który mi był wstrętny.

— Więc to już z tobą tylu chciało się żenić? — powiada z mimowolną zazdrością Lola. Ona jeszcze żadnego nie miała konkurenta. Niby wtedy w Zakopanem, wszyscy ją drażnili... Ale to może tylko... Gdzieżby on...

Cień rumieńca przepływa pod skórą Loli na samo wspomnienie.

— Czy to prawda, żeś ty na dwa tygodnie przed ślubem uciekła do Konrada?

— Prawda! Był chory, wzywał mnie...

Lola pokręciła głową w niemym podziwie.

— Aleś ty odważna! A coby było, gdyby się Konrad nie ożenił?

— Czy ja wiem, coby było?... Nie myślałam o tem wtedy wcale i nie liczyłam na małżeństwo.

— A na cóż liczyłaś?

— Na nic!

— Dziwna ty jesteś, Józiu, albo nie mówisz prawdy...

Ale Józia ma już dosyć tego przymusowego roztrząsania swoich uczuć, przeżyć i wspomnień. Postanawia odpłacić szwagierce pięknem za nadobne i wziąć ją z kolei trochę na spytki.

— A ty Lolu — zaczyna poufałym tonem — kochałaś się już?...

— A może teraz się kochasz? — dodaje żartobliwie, spostrzegając, że Lola opuszcza powieki na oczy i leciutko się czerwieni.

Lola jednak, tak ciekawa cudzych tajemnic — nie okazuje bynajmniej skłonności do wyjawienia swoich.

Jest skryta i zamknięta w sobie. To też pytanie bratowej zachęca ją do zakończenia tej nocnej rozmowy.

— Nie, nie kochałam się i nie kocham — odpowiada krótko i powstaje z łóżka Józi, na którego skraju siedziała — ale już późno, trzeba spać. Mnie zawsze głowa boli, jeżeli się nie wyśpię. Dobranoc, Józiu.

— Dobranoc. Dziękuję ci, Loluś, za odwiedziny i za wszystko...

— O, niema za co... — mówi z uprzejmym uśmiechem Lola. — Śpij spokojnie i nie zapomnij zgasić lampy, bo mama by się jutro gniewała, gdyby się za dużo nafty wypaliło.

Lola była już przy drzwiach, kiedy Józia zawołała nagle:

— Poczekaj jeszcze chwilkę... Chciałam się o coś zapytać...

— No?...

— Ty pewnie będziesz wiedziała... Kiedy wracałyśmy ze stacyi, zaciekawiła mnie jedna pani czy panna...

— Jakże wygląda?

— O, bardzo oryginalnie! Mocna brunetka... Oczy ogromne, czarne, trochę podkrążone i takie jakieś palące... Twarz podłużna, mizerna, żółtawa... Ubrana była ta pani w luźny żakiet, coś jakby męski „sak". Miała kapelusz duży, czarny, wywinięty i...

Lola nie pozwoliła bratowej dokończyć opisu.

— Aha, już wiem!...

W głosie panny Żarnickiej zadźwięczała jakaś dziwna, nieuchwytna nuta.

— Któż to taki?

— To jest panna Larchówna... Urzędniczka z poczty...

Lola skrzywiła blade wargi trochę lekceważąco.

— Pewnie ci się bardzo przypatrywała?

— Tak. Wogóle zauważyłam, że mnie oglądano od stóp do głowy, jakbym co najmniej była jakąś osobliwością.

— No, myślę, że cię oglądali... Musisz być na to przygotowaną, że jakiś czas będzie się Łyków aż trząsł od plotek na twój rachunek.

— Oj! — jęknęła cicho przestraszona Józia.

— Nie masz się czego obawiać. To przejdzie. Znajdą sobie później jakiś inny przedmiot zainteresowania. Ale Larchówna to już specyalnie na ciebie musiała oczy wypatrywać...

— Tak mi się zdawało.

— Naturalnie, że tak było.

— Czy to wasza znajoma?

Lola roześmiała się stłumionym chichotem.

— Co? Czy to nasza znajoma? Moja i mamy wcale nie!... Ale za to Konrada dobra znajoma... bardzo dobra znajoma!... To jest właściwie była — dorzuciła panienka z jakąś szczyptą zadowolonej złośliwości.

Józia straciła nagle ochotę do dalszej rozmowy.

— Ach, tak!... Dziękuję ci, Lolu. Dobranoc!

## ROZDZIAŁ VI.

Wiosenne słońce złocistą, zwycięską falą wdzierało się przez otwarte okna i zalewało cały pokój. Wesołe, jasne smugi kładły się na podłodze, na biało zasłanych łóżkach. Promienie słoneczne ślizgały się po gładkiej powierzchni zwierciadła, po jasno tapetowanych ścianach, złociły lśniące włosy młodej pani Żarnickiej, przeglądały się w niebieskich oczach, całowały świeże usta i pobladłą trochę twarzyczkę.

Po tylu miesiącach ostrej, upartej zimy, nareszcie wiosna! Przyszła ciepła, pogodna, uśmiechnięta, tem milsza im dłużej, im goręcej oczekiwana.

Józia, bardzo wrażliwa na wszelkie zmiany atmosferyczne, pochyla głowę, pręży szyję i przymruża oczy, jak kot, który się wygrzewa na słońcu. Ale ręce nie przestają poruszać zawzięcie szczotką, aby nadać odpowiedni połysk czarnym, skórkowym bucikom.

Wprawdzie czynność ta teoretycznie należy do pokojówki, lecz Joasia stale zapomina oczyścić buciki i suknię „młodszej" pani. Bardzo też niedbale sprząta jej pokój, tak, że Józia wszystko po niej „poprawiać" musi.

Mniejsza zresztą o sprzątanie i o czyszczenie bucików. To praca niewielka i pani Konradowa spełniałaby ją nawet chętnie, gdyby jej nie irytowało wyraźne lekceważenie ze strony Joasi, gdyby jej nie obrażały impertynenckie spojrzenia śmiałej, pewnej siebie pokojówki. Mogłaby się wprawdzie Józia poskarżyć świekrze gdyby nie wyczuwała, że zuchwałość sługi jest tylko echem niechętnego usposobienia samej pani domu.

— Gdyby Joasia wiedziała, że ktoś się za mną ujmie, nie ośmieliłaby się...

Ale tak... sprytna, zręczna, dobrze płatna pokojówka dobrze to rozumie, że jej stanowisko w tym domu jest daleko jaśniejsze i pewniejsze niż tej młodej mężatki, która nosi tytuł „pani". Z nią muszą się liczyć — z Józią nikt się nie liczy. Jej dają utrzymanie i wypłacają pensyę, jako coś należnego, tamta jest „na łasce".

Piękność Józi budziła w dziewczynie uczucie zazdrosnej niechęci, a grzeczność i uprzejmość nie zdołały jej zjednać.

Może przekupiłby Joasię hojny datek pieniężny lub jakiś ładny podarek, ale na to Józia i pieniędzy nie miała i zresztą nie pomyślała nawet o tym środku zdobywania sobie pozornej przynajmniej życzliwości i usłużności.

Dotychczas tak bywało, że gdziekolwiek zjawiła się Józia, służba przepadała za „śliczną", „kochaną", „grzeczną" panienką. Nawet stara, mrukliwa kucharka w Zalesinkach uśmiechała się do niej życzliwie, nawet „pyskata", ordynarna Małgośka u ciotki Antoniny miała dla panienki przyjazne, uprzejmiejsze słowo.

Ostatecznie jednak zuchwałe postępowanie Joasi było złem najmniejszem. Józia prędko nauczyła się z filozoficznym spokojem ignorować aroganckie spojrzenia sługi, prześwidrowujące wzrokiem każdy skromniejszy szczegół garderoby, a szczególnie ów nieszczęsny, niemodny, zakrótki żakiet zimowy.

Ach! Ten żakiet!... On to był przyczyną, że dopóki nie ociepliło się, młoda pani Żarnicka nie wychodziła zupełnie z domu.

Było to prawie więzienne życie, bo nawet śniadanie i podwieczorek przynoszono Józi do jej pokoju, przyczem kawa czy herbata już zwykle ostygły.

Do wspólnego stołu przychodziła tylko na obiad i na kolacyę i to nie zawsze.

Pozatem nie pokazywała się wcale w innych pokojach, chcąc uniknąć półgłośnych, a wcale nie dwuznacznych uwag teściowej, o „wierceniu się", o „próżniaczem szwendaniu" i „zaglądaniu we wszystkie kąty".

Chociaż dla jej ruchliwej, towarzyskiej natury takie odosobnione życie było ciężkiem — nie nudziła się jednak na razie.

Szyła trochę, przeglądała swoja garderobę czyściła, odświeżała, przerabiała rozmaite drobiazgi. Pochłaniała książki, których jej dostarczyła Lola — a przedewszystkiem dużo myślała o Konradzie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia odstawiła oczyszczone już buciki i wzięła ze stołu kartkę korespondencyjną, aby ją jeszcze raz przeczytać.

Po raz pierwszy od wyjazdu męża uśmiech prawdziwego zadowolenia rozjaśnił stroskaną twarz młodej kobiety.

Dostała dzisiaj dobre wiadomości.

Konrad donosił jej, ze może być zupełnie o niego spokojna. Przeznaczono go do pomocniczej służby etapowej, zdrowie mu dopisuje, czynności jego nie są zbyt uciążliwe.

„Nie martw się więc o mnie, Józieńko — pisał — A jakże ty się czujesz? Jestem przekonany, żeś już przywykła do twego nowego domu i że ci dobrze jest z Mamą i Lolą? Prawda Józiu?...

O! Jakaż to ulga dla mnie, żem cię pod tak dobrą zostawił opieką i że mogę być o ciebie spokojny..."

Trochę gorzko uśmiechnęła się teraz Józia... Nie przyszło jej jednak do głowy, że mogłaby mu coś o swoich przykrościach napisać.

W jakim celu?... Żeby go denerwować, niepokoić, martwić?... Zresztą byłoby to otwarte wypowiedzenie wojny matce Konrada, a Józia takiej walki wszczynać teraz nie mogła i nie chciała nawet.

Kłamać nie będzie, odpisze wymijająco, ale nie poskarży się. Niechże Konrad pozostanie spokojny.

Zresztą przecież ta wojna nie będzie trwać wiecznie. Skończy się, Konrad wróci, a wtedy...

W zakończeniu swej kartki Żarnicki dodawał, że nie odczuwał żadnych braków, bo matka nietylko go zaopatrzyła w pieniądze, ale już mu przysłała dobrze wyładowaną paczkę.

Józia westchnęła. Nawet jej nie powiedziano, że wysyła się paczkę do Konrada.

Choć co prawda — cóżby mu ona kupić mogła?... Czyż miała pieniądze?...

Wspomnienie o pieniądzach pokierowało myśli Józi w inną stronę.

Wstała z krzesła, wzięła swoją torebkę ręczną i z pewnym niepokojem zaczęła przeliczać swój bardzo skromny kapitalik.

Zaledwie trzydzieści koron! Na nic wydawać nie można, bo to musi wystarczyć przynajmniej na marki. Trzebaby jednak kupić sobie świeże rękawiczki... I welonka już zniszczona.

Jak to jednak dobrze, że kostyum wiosenny jest jak nowy... I kapelusz jedwabny także...

Anielka go kupowała!... Droga, kochana Anielka!...

— Na lato będzie mi potrzebny drugi kapelusz... — rozmyśla dalej Józia — Inaczej, wyśmieją mnie znowu... Trudno!... Trzeba sobie jakoś radzić!... Mam stary fason, przerobię go, ubiorę!... Żarnickiej nie będę przecież prosiła o pieniądze. O! Za nic!... A ojciec także zapowiedział, że nie da już ani grosza!... I dotrzyma! Och! Ojciec i teraz ta macocha!... Mój Boże! Taka marna rzecz pieniądze, a jednak to źle nie mieć ich!...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia ubrana w elegancki, zgrabny, granatowy kostyum wiosenny, któremu świeżości dodawał biały koronkowy kołnierz — w niebieskim jedwabnym kapelusiku na bujnych włosach, wysunęła się z mieszkania do sieni.

Na dość wąskich schodach zetknęła się z jakimś wyelegantowanym jegomościem, który widocznie podążał do mieszkania pani Żarnickiej.

Był to mężczyzna w średnim wieku, może czterdziestoletni, może młodszy trochę, a może i starszy.

Znać było po nim, że niszczące ślady czasu, jeżeli istnieją, stara się usilnie zacierać.

Był ubrany z tak wyszukaną starannością, że aż prawie raziły jego doskonale zaprasowane spodnie, nieskazitelnie błyszczące lakierki, nowiutki, jakby dopiero ze sklepu przyniesiony, twardy, czarny kapelusz, najnowszego kroju zarzutka, zręcznie okazująca jedwabną podszewkę i najmodniejszej barwy krawat w najmodniejszy węzeł związany.

Z ubrania tego pana ulatniała się dyskretna, a jednak silna woń jakichś perfum.

Gładko ogolona twarz ujawniała ostre linie brody, a rudawe do góry podkręcone wąsy nadawały, czy też nadawać miały całej fizyognomii coś zdobywczego.

Zielonawo połyskujące oczy spojrzenie miały bystre i przenikliwe, zanadto nawet bystre i nieprzyjemnie przenikliwe.

Na widok Józi, ten elegancki, wonny jegomość zwinnym, szarmanckim ruchem usunął się pod ścianę, ustępując jej miejsca i grzecznie uchylił kapelusza, odsłaniając pięknie zafryzowane, ale mocno już przerzedzone uwłosienie.

Twarz jego wydała się Józi znajomą. Jakby zmieniona trochę, ale stanowczo znajoma.

— Gdzie ja tego pana widziałam? — myślała, zbiegając szybko ze schodów — Bo ja go gdzieś widziałam... Nie mogę sobie przypomnieć gdzie... Ale napewno widziałam... Tylko jakoś wtedy inaczej wyglądał... Tak! Tak przypominam sobie teraz dokładnie... Miał hiszpańską bródkę... Zgolił widocznie... Ale gdzie to było? Aha! Już wiem!... W Pradze!...

Odetchnęła głęboko, wydostawszy się na ulicę. Przyjemnie owionęło ją ciepłe powietrze. Potoki światła słonecznego lunęły jej prosto w twarz, tak, że musiała przymrużyć oczy.

Zręcznie stąpając, aby jak najmniej wykręcać obcasy, przecięła Józia „kocimi łbami" wybrukowany rynek.

Pierwsza zwróciła na nią uwagę stara żydówka, sprzedająca na straganie zwiędłe cytryny i słodkie, lepkie, lecz mało apetyczne smakołyki.

— Zijste... zijste! — zwróciła się do swojej sąsiadki, straganiarki — a synowe fin dy Żarnicka!

— Siajn! — zadecydowała tamta.

Józia weszła w aleję łykowskiego skweru.

Spóźniona wiosna nie zdążyła jeszcze umaić drzew i trawników, tak, jak to bywało po inne lata o tej porze. Wszędzie jednak naokół widać było, jak przyroda pod wpływem słonca ze zdwojoną mocą spieszy, żeby naprawić opóźnienie. Prawie w oczach rozpękało się młode listowie drzew. Z zadziwiającą szybkością wychylała się z ziemi świeża zieleń traw.

Kilku rannych żołnierzy wygrzewa się na słońcu. Tu i ówdzie bawią się hałaśliwie i gromadki dzieci. Niańki i matki toczą wózki z najmłodszemi „pociechami".

Na jednej z ławek siedziały trzy panie, zajęte żywą rozmową: mocno wypudrowana mama z nieładną, piegowatą, wykrygowaną i zda się pełnoletnią już córką i jakaś starsza dama z bujnemi, siwiejącemi włosami i z wybitnie energiczną miną. Dama ta spoglądała co chwila przez t. zw. „szyk na patyku", inaczej „l'orgnon" osadzony na długiej, szyldkretowej rączce.

Kiedy Józia mijała te panie, „l'orgnon" podniósł się na wysokość oczu siwiejącej damy.

— Proszę pani, nie wie pani kto to? To coś nowego i wie pani... wcale... wcale...

— A, ta!... Jakto, pani prezesowa nie wie?... To synowa Żarnickiej... To cała historya!...

— Konrad Żarnicki się ożenił! A to rzeczywiście historya!... Ale miał dobry gust!

— Podobno nie bardzo chciał się żenić, ale... Miciu, proszę cię, nie słuchaj!

Upudrowana pani przysuwa się bliżej do damy, nazwanej prezesową, i cichym szeptem, zapewne ze względu na dziewiczą skromność pełnoletniej panienki, zaczyna coś bardzo żwawo opowiadać. Opowiadanie to jednak niewielkie zdaje się wywierać wrażenie na prezesowej.

— No tak, było nie było... Nikt nie wie, jak właściwie było... A że Żarnickiej poszło trochę po nosie, nic nie szkodzi! Wie pani, ona mi przecież zaczęła w zeszłym roku krytykować urządzenie festynu „Pożegnanie lata"... Jedno było jej niedobre, drugie niestosowne, a to wszystko przez to, że chciała swoją Lolusię zrobić przodownicą w „dożynkach". Ładna mi przodownica, co ma blednicę... A ja powtarzam, że Konrad miał dobry gust!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Kobieta polska na obczyźnie.

Przymusowe uchodźctwo wojenne z Galicyi wytworzyło już pewien specyalny typ życia polskiego, w którem Polacy dają dowód zarówno swego przywiązania do rzeczy ojczystych, jak swej spójności i innych społeczno-narodowych zalet. W życiu tem kobieta polska wybitną odgrywa rolę, a jednym z przekonywujących dowodów tego jest działalność kolonii polskiej i jej kobiet w Opawie na Śląsku.

Wśród ognisk wychodźczych kolonia opawska ma swój odrębny charakter, jako składająca się wyłącznie z funkcyonaryuszy ewakuowanej stanisławowskiej dyrekcyi kolejowej. Stąd też brak nędzy zwyczajnej w innych środowiskach wychodźczych. Że jednak nędzy, zwłaszcza nędzy polskiej, nie brak w tych czasach nigdzie, a wśród nas i w najmniej sprzyjających warunkach wielu jest ludzi dobrego serca, więc gdy rozeszła się wieść po Opawie, że w szpitalach tutejszych znajduje się stale kilkuset rannych żołnierzy-Polaków, kolonia pospieszyła im chętnie z pomocą.

Przed Bożem Narodzeniem zawiązał się za inicyatywą p. Michaliny Głażewskiej i p. Heleny Gerstmanównej komitet gwiazdkowy, aby z podarkami i dobrem słowem pójść po kolędzie do tych najnieszczęśliwszych rodaków. Raz rozpoczęte dzieło nie ustało i skromny komitet gwiazdkowy przemienił się w stałą organizacyę „Koło pań“ o znacznie szerszym zakresie działania. Podzielono się wnet na sekcye, z których główna sekcya szpitalna pod przewodnictwem p. Alfredowej Ujejskiej, a następnie p. Zofii Migockiej objęła stałą opiekę nad rannymi żołnierzami-Polakami, rozrzuconymi po licznych szpitalach tutejszych, spiesząc do ich łoża boleści z pociechą i dobrem słowem, książką polską i wsparciem. Sekcya opieki nad młodzieżą pod przewodnictwem p. Głażewskiej zajęła się dziatwą pozaszkolną, sekcya finansowa zabiegała o zdobycie funduszów przez zbieranie składek lub urządzanie zebrań towarzyskich. Pominąć nie można tu i tej zasługi „Koła pań“, że starało się o obudzenie wśród polonii tutejszej uczuć narodowych, a szczytem usiłowań w tym kierunku był piękny obchód Trzeciego Maja urządzony wspólnie z tutejszą delegacyą K. B. K.



**Kobieta polska na obczyźnie:** Zarząd „Koła Pań“ w Opawie z przewodniczącą (X) p. Michaliną Głażewską na czele

Najlepszym dowodem zapobiegliwej pracy tej pięknej organizacyi i sympatyi, jaką się cieszy wśród kolonii tutejszej, jest półroczne sprawozdanie, które między innemi wykazuje przeszło dwa tysiące koron obrotu uzyskanych z drobnych, halerzowych datków.

Działalność opawskiego „Koła Pań“ pomnaża liczny szereg spowodowanych wojną zrzeszeń naszych, będących objawem wzmożenia się u nas tętna życia społecznego, objawem, który napawa nas słuszną dumą i pewnością, że mimo wszystkie ciosy, jakie zadała nam wojna obecna, zwycięsko przetrwamy.

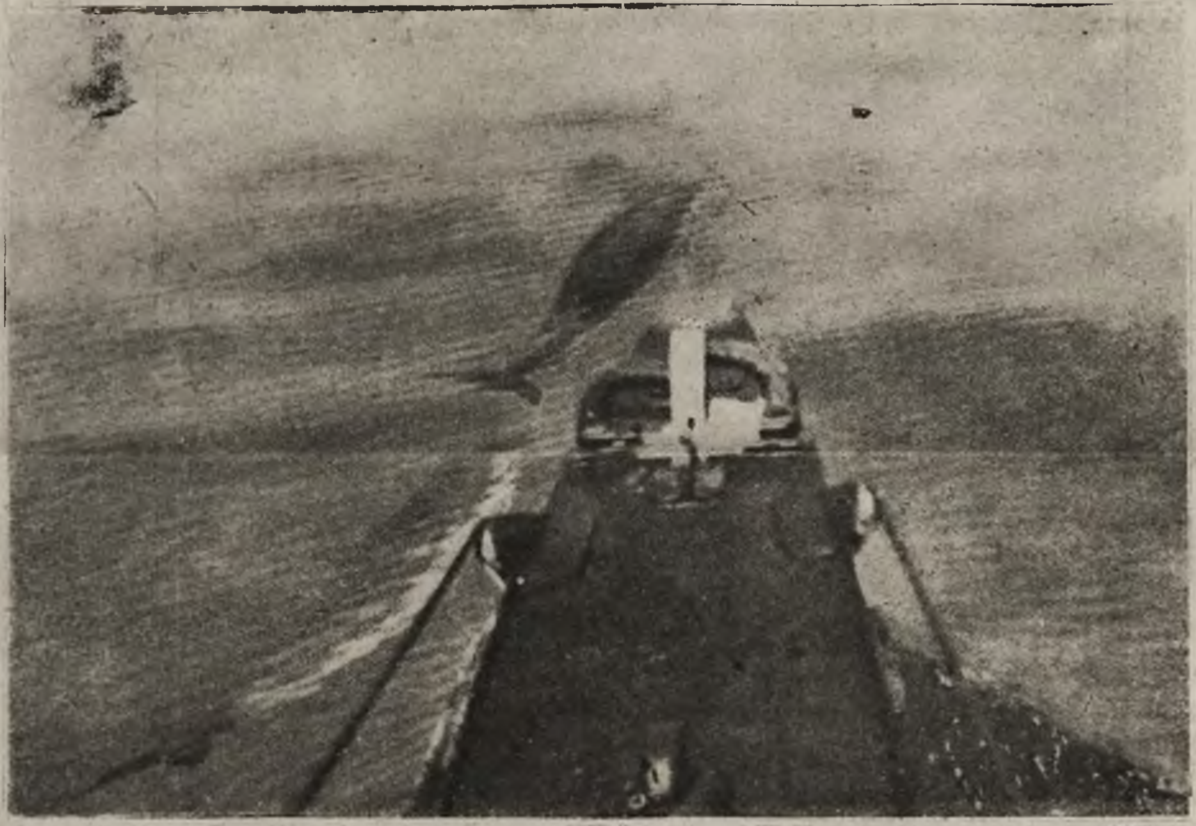


**Kobieta polska na obczyźnie:** Sekcya opieki nad rannymi Polakami w Opawie z przewodniczącą (X) p. Alfredową Ujejską

---

## Wojna podmorska.

Wojna na powierzchni morza, w powietrzu, a przedewszystkiem na lądzie, wre z całą zaciętością już blisko trzy lata. Dotychczas przynosiła ona stale powodzenie mocarstwom centralnym, lecz skoalizowani nieprzyjaciele w samem jej długiem trwaniu widzą dla siebie oznakę pomyślną, licząc, że się mocarstwa centralne w końcu wyczerpać muszą, podczas gdy koalicya tymczasem rozporządza wciąż jeszcze olbrzymim materyałem ludzkim i terytoryami. Lecz mocarstwa centralne od pół roku wprowadziły w grę nowy czynnik — wojnę podmorską łodziami podwodnemi — i ta przyspiesza powoli, lecz stale sukces państw centralnych, podcinając niezawodnie jeden z najżywotniejszych nerwów koalicyi.



**Wojna podmorska:** Rekiny jako stali towarzysze łodzi podwodnej

W przeciwieństwie do komunikatów o bitwach lądowych, doniesieniom o działalności łodzi podwodnych dzienniki znikomej udzielają uwagi. Doniesienia te brzmią lakonicznie i pozornie skromnie — dzisiaj łodzie podwodne zatopiły 31000 ton w kanale i 24000 ton na morzu Śródziemnem — to można z pewnemi zmianami czytać prawie codziennie, ruszając ramionami, jeżeli się człowiek nie wmyśli w treść takiego doniesienia. Tymczasem każde takie doniesienie równa się wiadomości o wygranej bitwie, oznacza ono bowiem pójście na dno morza kilku wielkich, lub kilkunastu mniejszych okrętów, razem z żywnością, materyałem przemysłowym lub wojennym, amunicyą, czasem nawet z całym oddziałem żołnierzy nieprzyjacielskich. Taki ubytek okrętów, ludzi i materyału codziennie musi odbić się na zasobach, aprowizacyi, materyale wojennym i t. d. koalicyi dotkliwiej, niż raz na miesiąc przegrana



**Rocznica odrodzenia szkolnictwa polskiego w Piotrkowie:** Uczniowie i nauczycielki szkoły wzorowej w Piotrkowie.

bitwa lądowa, zwłaszcza, że flota koalicyi niema tak wielkiego rezerwoaru sił, jak jej siły lądowe.

Niedawno ważyły się w Niemczech losy dalszej wojny, czy bliskiego pokoju. Brało już górę przekonanie o pożytku drugiej ewentualności, gdy szalę przeważyło w przeciwną stronę kompetentne zdanie admirała von Tirpitza, że wojna podmorska prędzej podetnie potęgę koalicyi, niż się laikom zdaje. To zdanie, poparte przekonywującymi miarodajne czynniki dowodami, zadecydowało o dalszych losach wojny światowej, której działalność łodzi podwodnych okrutny w końcu ma położyć kres.

Podajemy dwie illustracye, obrazujące tą działalność podwodnej strasznej broni niszczycielskiej. Jedna przedstawia tonący wielki angielski parowiec morski u południowych krańców Grecyi, drugie zdjęcie — osobliwe towarzystwo, które sobie w głębinach morskich pozyskały łodzie podwodne, bez żadnych zresztą o to starań. Straszne ryby-potwory, żarłoczne rekiny ludojady, przekonawszy się, że podróżom łodzi podwodnych krwawe towarzyszy żniwo, asystują im stale, w nadziei pożywienia się tonącymi po storpedowaniu okrętu marynarzami. Piraci głębin czyhają na łup...





**Rocznica odrodzenia szkolnictwa polskiego w Piotrkowie**

Gmach publicznego seminaryum nauczycielskiego żeńskiego w Piotrkowie. Grono uczniów seminaryum nauczycielskiego w Piotrkowie.

## Rocznica odrodzenia szkolnictwa polskiego w Piotrkowie.

Jedną z bardzo nielicznych stron jasnych dla kraju naszego w czasie wielkiej wojny światowej jest odrodzenie szkolnictwa polskiego w Królestwie. Stłumione za rządów carsko-rosyjskich odżyło po kilkudziesięciu latach zagłuchnięcia, gdy armie carskie opuściły Królestwo i władze austryackie objęły tam rządy. Przy wybitnem i pełnem zapału współdziałaniu nauczycielstwa polskiego z Galicyi, któremu rząd okupacyjny dużo pod tym względem zostawił swobody, szkolnictwo w krótkim czasie powstało, rozrosło się i zorganizowało, przybierając wyraźnie narodowy charakter. Gubernia piotrkowska była tą połacią Królestwa, która najwcześniej pozbyła się carskich rządów, to też obecnie starożytny Piotrków odchodzi już pierwszą rocznicę odrodzenia swych szkół polskich.

Piotrków trybunalski, przed wojną miasto gubernialne, posiadał za rządów rosyjskich dwie szkoły średnie publiczne: gimnazyum męskie i żeńskie; pierwsze umieszczone było w gmachu pojezuicko-popijarskim, drugie w budynku własnym, przy kościele ongiś Dominikanek, czyli „Panien". Obydwie budowle jako własność państwową objął w opiekę w czasie wojny austro-węgierski rząd okupacyjny i oddał je w służbę celom oświatowym. Z gmachu uczelni męskiej korzysta czasowo prywatne gimnazyum męskie, w budynku szkoły żeńskiej otwarł rząd dzisiejszy pierwszą w Piotrkowie publiczną szkołę średnią: publiczne seminaryum nauczycielskie żeńskie.

Zorganizowana została ta instytucya jako studyum czteroletnie, otwarta zaś z początkiem listopada 1916. Na razie rozpoczęła się nauka tylko na kursach I i II i w dwu pierwszych klasach szkoły ćwiczeń, czyli tak zwanej wzorowej, a do korzystania z nauki ze zgłaszających się w pierwszym roku dopuszczono trzydzieści kursistek, a pięćdziesiąt dziatwy w szkółce. Seminaryum nauczycielskie także było dla Piotrkowa typem nowym, uważano je nadto za rządowe w znaczeniu dawnem rosyjskiem. Przyglądano się nowej uczelni i zwolna przekonywano się o jej polskim i narodowym charakterze, widząc, jak swobodnie i uroczyście się tam narodowe uroczystości obchodzi i słysząc jak swobodnie i rzetelnie pieśń polska w jej murach rozbrzmiewa. Zgłaszać się poczęły nowe kandydatki na kursa, ale nie miały dostatecznego przygotowania. Wtedy grono nauczycielskie przyszło im z pomocą obywatelską i zorganizowało dla trzydziestu panienek prywatny a bezpłatny kurs przygotowawczy. Dla umysłów chętnych i rozwiniętych odpowiednio była to pomoc znaczna, nauczycielstwo zaś swą ochotnością i pracą bezinteresowną zasłużyło sobie na sympatyę



**Niemiecka ofenzywa na Zachodzie:** Odprowadzanie jeńców na miejsce zbiórki.

w obywatelstwie. Ze szkoła taka jest potrzebną i w Piotrkowie, świadczy fakt, że pewne koła otwierają swoją szkołę nauczycielską prywatną.

W zimie szkolna herbaciarnia dostarczyła wychowankom szkoły ciepłego posiłku. W lecie uczenice w ogrodzie szkolnym pielęgnują warzywa. Przechadzki naukowe po zabytkach miasta i do fabryk oraz wycieczki w dalszą okolicę dopełniały pracę szkolną.

Zestrój nauczycielski i zestrój szkoły całej był doskonały. W harmonii i z jednem hasłem pracowali uczący i uczący się, pracowali przybysze i swoi bliżsi. „Galicyanie“ i „Królewiacy“ sharmonizowani świecili przykładem twórczej pracy, silni jednością celu i drogi. Uznał to moralny twórca publicznego seminaryum nauczycielskiego piotrkowskiego, gubernialny inspektor dr. Maryan Reiter, stwierdziły to i czynniki miejscowe.

Grono nauczycielskie stanowili w 1917 r.: kierownik zakładu, dr. Jan Magiera, (prof. z Krakowa), Ludwik Bogobowicz, ks. Zeno Cwilong, Stanisław Naszydłowski, Aleksander Petrajtys, Zofia Pfauówna (ze Lwowa), Helena Pizłówna (z Krakowa).

Z nowym rokiem szkolnym publiczna szkoła nauczycielska w Piotrkowie posiadać już będzie trzy kursa seminaryjne, trzy klasy szkoły wzorowej i zakład froeblowski.

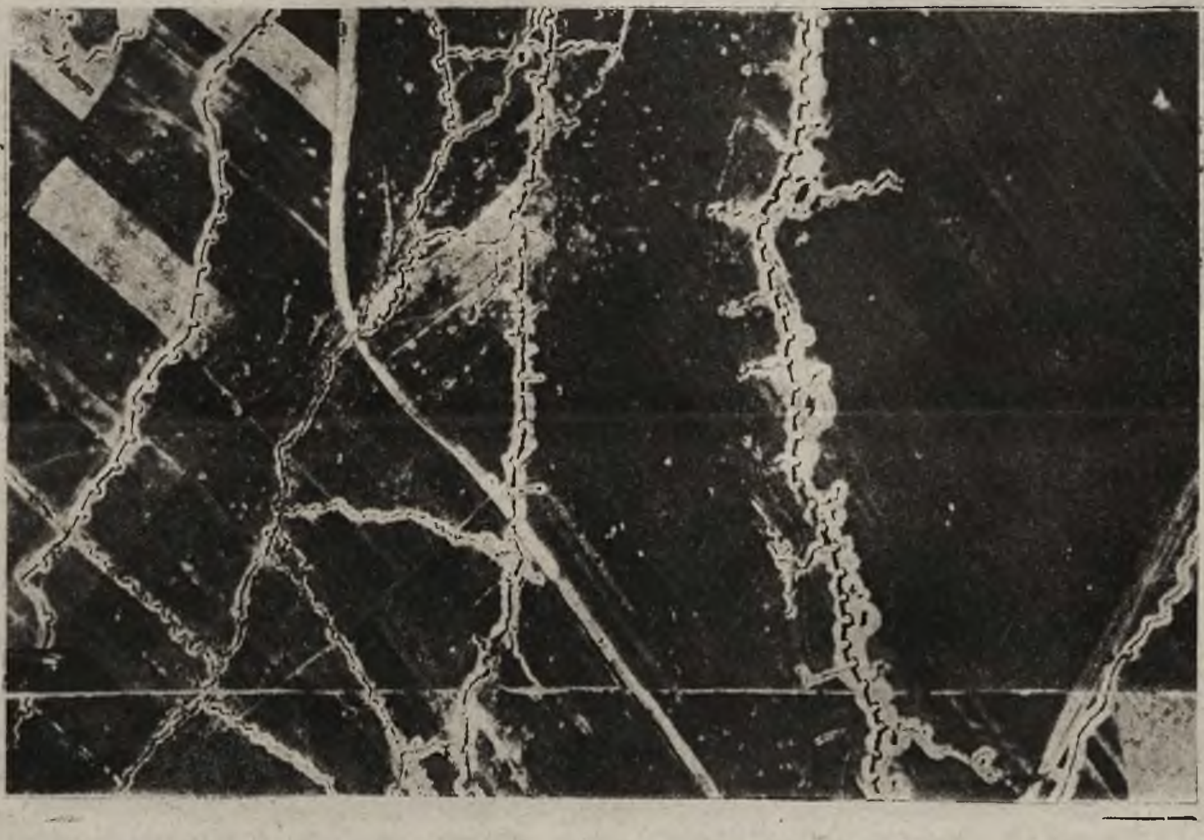
## Ofenzywa niemiecka na zachodzie.

Wiosna tegoroczna miała przynieść koalicyi zwycięskie rozstrzygnięcie na froncie zachodnim. Francuzi i Anglicy rozpoczęli wtedy „wielką“ ofenzywę, niezmiernie dla nich krwawą i obfitą w straty, ale zupełnie bezpłodną pod względem strategicznym. Prócz szczupłego zysku w terenie, skoalizowani nie zyskali nic; front niemiecki pozostał niezachwiany Francuzi i Anglicy, po wielu straszliwych natężeniem, a bezskutecznych próbach, przekonali się, że nie tylko o marszu na Berlin, ale nawet o wyparciu Niemców z cząstki zajętej przez nich Francyi, nie mówiąc już o Belgii, mowy niema. Przekonali się i uspokoili w swoich zapędach atakowych, tembardziej, że długotrwałe poprzednie szturmy zupełnie wyczerpały ich siły i ochotę.

Ten właśnie moment wybrali Niemcy dla okazania, że „wielka“ ofenzywa angielsko francuska, nietylko ich nie złamała, ale wywołała z ich strony odpłatę. Przyszła więc kolej na „małą“, ale skuteczną kontrofenzywę niemiecką na Zachodzie. Przewaga lotników niemieckich w walkach powietrznych pozwoliła im najpierw zebrać cenny materyał obserwacyjny co do stanu nieprzyjacielskich stanowisk i rozmieszczenia sił nieprzyjaciela. Za tem poszedł niszczący ogień dział niemieckich na wybrany odcinek francuski lub angielski; poczem następuje z reguły krótki, ale gwałtowny i skuteczny atak. Od dwóch już tygodni codziennie prawie może donieść niemiecki sztab generalny, że w tym lub owym odcinku zdobyto pozycye nieprzyjacielskie na froncie kilka kilometrów szerokim i wzięto kilkuset lub tysiąc paruset jeńców. Co Francuzi i Anglicy zdobywali tygodniami w szeregu szturmów, to Niemcy odbierają teraz w jednym dniu. Jeńcy francuscy i angielscy odchodzą codzień za front niemiecki, lotników ich codziennie ginie po kilkunastu, gdy próbują przeciwdziałania. To wszystko zaś umożliwia niezmierna dokładność i systematyczna gruntowność, z jaką Niemcy przygotowują każdą akcyę bojową, na wschodzie czy zachodzie.



**Niemiecka ofenzywa na zachodzie:** Wypoczynek przed szturmem.



**Odwet na wschodzie:** Zdjęcie lotnicze rosyjskich pozycyi.



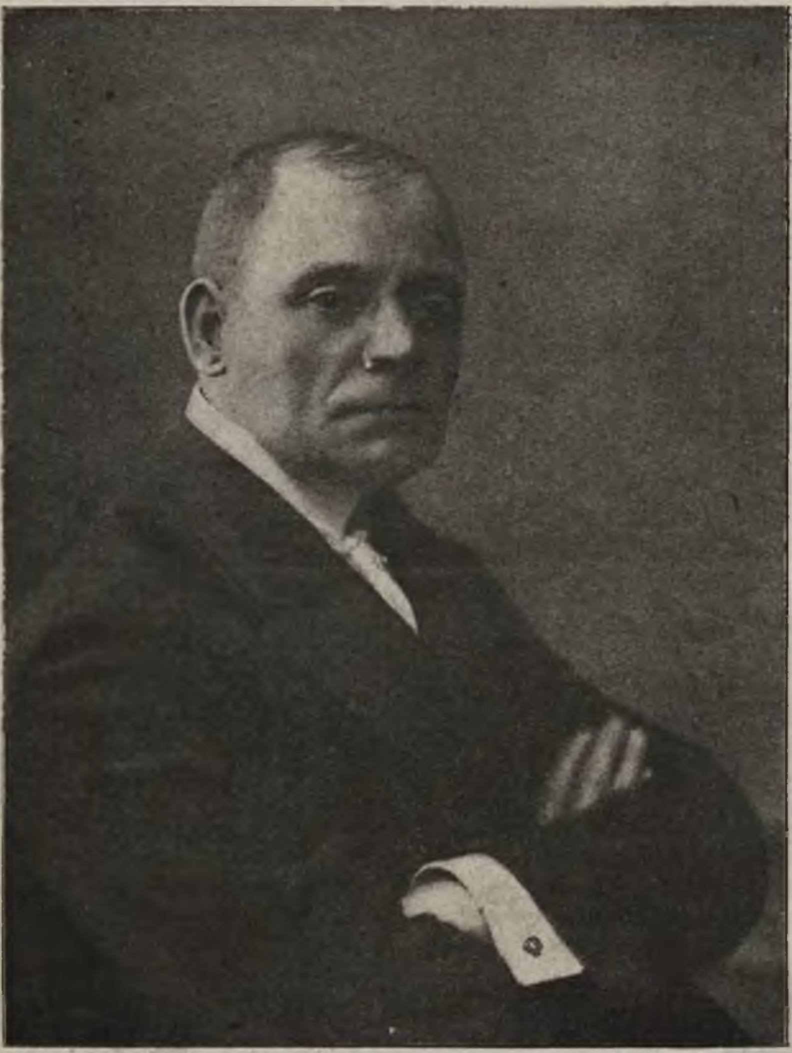
**Niemiecka ofenzywa na zachodzie:** Przecinanie nieprzyjacielskich zasieków drucianych

## Zmiany w Teatrze Ludowym.

Teatr Ludowy krakowski, otaczany sympatyą publiczności i troskliwą artystyczną opieką znakomitego kierownika obu scen miejskich, p. Adama Grzymały-Siedleckiego doznał pewnych zasadniczych zmian wewnętrznych. Do tych należy w pierwszym rzędzie rozdział operetki i dramatu. Po ustąpieniu ogólnego kierownika obu działów, dyrektora Pilarskiego, poruczył dyrektor Siedlecki prowadzenie dramatu p. Ludwikowi Czarnowskiemu, a operetki p. Andrzejowi Lelewiczowi.

Osoby nowych kierowników nie są bynajmniej obce polskiej publiczności.

Pan Ludwik Czarnowski, obecny reżyser dramatu, to artysta w pełni sił wieku i rozkwitu swego oryginalnego i indywidualnego talentu, wspieranego bystrą inteligencyą i wykształceniem. Wychowanek warszawskiej szkoły dramatycznej, wcześnie rozpoczął pracować na scenie, dopełniając swe studya na



**Zmiany w Teatrze Ludowym**: Andrzej Lelewicz

wzorach teatrów paryskich, moskiewskich i petersburskich.

W r. 1911 działał już L. Czarnowski na stanowisku reżysera teatru w Wilnie za dyrekcyi J. Pawłowskiego; ten sam odpowiedzialny posterunek zajął potem w Poznaniu w dyrekcyi Szczurkiewicza. Z początkiem wybuchu wojny znalazłszy się w Czechach, występował w praskiem „Divodle Svendewem" i grając po polsku wśród czeskich aktorów, zyskał mimo to entuzyastyczne przyjęcie ze strony publi-



**Zmiany w Teatrze Ludowym**: Henryk Schmid.

czności i prasy. Talent Czarnowskiego zwrócił na siebie uwagę ówczesnego dyrektora teatru miejskiego w Krakowie L. Rydla, który go też pozyskał dla tej sceny. Tu pozostawał już stale aż do objęcia dyrekcyi przez A. G. Siedleckiego, dzieląc swą pracę między dwie sceny: ludową i miejską, aż wreszcie otrzymał zaszczytny mandat reżysera w Teatrze Ludowym.

Na reżysera operetki powołany został przez dyrektora Siedleckiego p. Andrzej Lelewicz. Artysta to znany i niezmiernie popularny. W żadnem chyba mieście, najmniejszem czy największem w całej Polsce, nie obcą jest postać pana Andrzeja, znakomitego komika operetkowego, świetnego monologisty estradowego. Nazwisko jego samo starczy za polecenie. Były artysta lwowskiej sceny, były dyrektor teatru poznańskiego, poświęci teraz swą pracę naszej ludowej scenie. Pod takiem kierownictwem i w takiem ręku byt i przyszłość krakowskiej operetki są zapewnione.

Do zmian wewnętrznych, wprowadzanych do Ludowego Teatru przez dyrektora Siedleckiego należy w pierwszym rzędzie, „odnowienie" personalu i wzmocnienie go świeżemi, dobremi siłami. Wśród tych wybitne miejsce zajmie p. Henryk Schmid, młody, niepospolicie utalentowany artysta. Zaraz po pierwszym jego występie w „Ciemnej plamie" cała prasa przyklasnęła jednogłośnie doskonałej jego kreacyi „Barona" podnosząc wyborne zrozumienie postaci, pogłębienie psychologiczne, miły o sympatycznym brzmieniu głos i nader korzystne warunki zewnętrzne. Pan Schmid pracuje od ośmiu lat na scenie, z tego kilka lat spędził w Warszawie w teatrze M. Łaskiej, a rok w miejskim teatrze krakowskim. Dziś zaangażowany na pierwszorzędne stanowiskow Ludowym Teatrze, spełni, wnosząc z dotychczasowych występów, pokładane w nim nadzieje dyrekcyi, prasy i publiczności, która od razu pasowała go na swego ulubieńca.



**Zmiany w Teatrze Ludowym**: Ludwik Czarnowski.

Należy się spodziewać, że w przyszłym, po wakacyach, sezonie, teatr ludowy, pod nowemi siłami kierowniczemi, przy racyonalnym rozdziale pracy i repertuaru, spełniać będzie jeszcze skuteczniej rolę popularyzatora sztuki dramatycznej. *K. Kr.*



**Wojna podmorska**: Storpedowany przez austryacką łódź podwodną, u południowych wybrzeży Grecyi, wielki angielski parowiec



**Niemiecka ofensywa na zachodzie**: Nabijanie miotacza min

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

7

— Doprawdy?

— Wczoraj udałem się do Belleville i ajent, jak anioł stróż, nie odstępował mnie z oddalenia na krok jeden, bacząc na każdy mój ruch i słowo.

— Nie widzę w tem nic złego.

Cypryan Leduc wzruszył pogardliwie ramionami i uśmiechnął się ironicznie.

— Złego! No, zapewne, nie było w tem nic złego dla mnie! — odparł z podrażnieniem. — Ale przez takie nieoględne postępowanie władz policyjnych wszyscy należący do rodziny Bonnet d'Esclairs narażeni są na silne niebezpieczeństwo, jak to raz już powiedziałem. Mogą zostać wymordowani podstępnie i nikt nie będzie w stanie przewidzieć wcześniej, jaką porę i broń wybierze morderca dla dopełnienia swojego czynu. Czy rozumie pan teraz, że prokurator uczyniłby daleko rozsądniej, pozostawiając mi wolne pole do badania i śledzenia ze swojej strony?

— Rzeczywiście, pan ma słuszność — potwierdził baron — i jeżeli będziesz u prokuratora, to powinieneś uwagi tej mu udzielić.

— Tak jest, proszę pana. Niech mu pan powie, aby ajenci jego pozostawili mnie w spokoju, bo najmniejsza nieostrożność, lub nietakt z ich strony zniszczyć może poszukiwania, które już przedsięwziąłem. a mogą one dojść do zamierzonego rezultatu tylko w takim wypadku, jeżeli w mordercy nie zrodzi się podejrzenie, że jest przezemnie śledzony. Zresztą — dodał Cypryan Leduc, zmierzając ku wyjściu — mają panowie mój adres i jeżeli w policyi potrzebować będą szerszych wyjaśnień, chętnie niemi w każdej chwili służyć będę. Żegnam państwa!

Cypryan Leduc skłonił się lekko i wyszedł po tych słowach.

— Szczególny człowiek! — rzekł Henryk Berthaud, zaledwie się za nim drzwi zamknęły.

— A jeszcze szczególniejsza sytuacya! — uzupełnił baron. — Ale doprawdy, po co się tak przejmować tem zdarzeniem! Ta biedna Olivia odchoruje jeszcze to wzruszenie! Trzeba jaknajprędzej odpędzić od nas te niepokojące myśli. No, cóż, moja kochana, czy czujesz się już lepiej? — dodał, zwracając się serdecznie do młodej kobiety.

— Oh, tak... rzeczywiście... lepiej mi już — odparła lakonicznie Olivia... A jednak ta perspektywa, którą mamy przed sobą, nie może dobrze wpłynąć na nas...

— Poprosimy Henryka, ażeby czuwał nad nami. Chciałbym zobaczyć człowieka, któryby potrafił dostać się aż do mnie, pomimo woli i ostrożności, jaką się otoczymy.

— Możesz liczyć na mnie, mój kochany — pospieszył zapewnić Berthaud. — Udam się natychmiast do dyrekcyi policyi i będziemy musieli dowiedzieć się coś więcej o tym tajemniczym archiwiście, który wydaje mi się dosyć zagadkowy i skąpy w wyjaśnieniach. Mam wrażenie. że on wie daleko więcej, niż nam tu powiedział.

XI.

Upłynęło jeszcze kilka tygodni, nie przynosząc za sobą żadnego wytłumaczenia zbrodni, popełnionych w Marsylii i górach ardeńskich. Tak, jak pierwszego dnia po ich odkryciu, osobę mordercy dalej otaczała niezbadana tajemnica i policya na żaden trop wpaść nie mogła.

Pewnego dnia Jerzy, urzędnik pracujący u Cypryana Leduc, wyszedł ze swojego pokoiku, który zajmował na ulicy Rennes i skierował się pieszo w stronę Bastylii. Była to niedziela i młody człowiek, chcąc wykorzystać ten dzień wolny od zajęć biurowych, zamierzał odbyć przechadzkę poza obrębem miasta.

Właściwie celem wycieczek niedzielnych Jerzego było od jakiegoś czasu Saint-Mandé. W dnie te pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą, można go było zawsze spotkać wychodzącego z ulicy Rennes, przechodzącego przez dzielnicę św. Antoniego i zdążającego potem machinalnie szeroką ulicą Bel-Air.

Aż do tego miejsca chód jego był zawsze powolny i miarowy: wyglądał na człowieka, idącego bez celu, jedynie dla przyjemności przechadzki i często bardzo zatrzymywał się na chwilę przed wystawami sklepów lub przypatrywał się publiczności niedzielnej, spieszącej tłumnie na zabawy i rozrywki różnego rodzaju. Ale jak tylko zagłębił się w szeroką, wysadzaną drzewami aleję, zdawało się, że jakiś niepokój ożywia go nagle, oczy jego błyszczały żywszem światłem, chód stawał się bardziej nerwowy i przyspieszony i szedł już dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się działo koło niego.

Dochodził w ten sposób aż do zakrętu drogi, zbaczającej ku obwodowej kolejce, skręcał szybko w lewo i zatrzymywał się niezmiennie o kilka kroków od domu noszącego numer 36.

Ten dom, jak to już było wspomniane, znajdował się w głębi ogrodu, poza którym ciągnęła się wąska, nieuczęszczana nigdy uliczka i na którą wychodziły północne okna naukowego instytutu pani Bourgeois.

René nie pozostawał długo w tem miejscu obserwacyjnem. Po krótkim wypoczynku, który mu powracał utraconą odwagę i panowanie nad sobą, kierował się na wąską uliczkę ciągnącą się pod ogrodzeniem zabudowania.

Znajdowały się tam w starym, zniszczonym murze, drzwi małe o zardzewiałym zamku. Jerzy podchodził do nich i upewniał się silnem popchnięciem czy są zamknięte, poczem znowu oddalał się o parę kroków i usiadłszy na ławce, czekał.

Powód tych tajemniczych niedzielnych wycieczek młodego człowieka był bardzo naturalny.

Jednego dnia, w alejach lasu St. Mandé, Jerzy spotkał młodą dziewczynę, pozostawioną tam samą z żartów przez towarzyszki i która onieśmielona, drżąca i wylękniona szukała naprożno wyjścia z gąszczów zaciemniających się coraz więcej.

Jerzy był z natury bardzo nieśmiały, ale młoda dziewczyna miała wygląd tak zmieszany i zaniepokojony, że zdobywszy się na ostateczną odwagę podszedł do niej i zapytał uprzejmie:

— Przepraszam panią, o ile się nie mylę, zabłąkała się pani w lesie?

— Rzeczywiście — odpowiedziała młoda dziewczyna — przyjaciółki, które mi towarzyszyły, rozbiegły się nagle w różne przeciwne strony, chciałam za niemi pobiedz, a że nie znam dokładnie tych miejsc, zbłądziłam z drogi.

— Jeżeli pani pozwoli, to ja wskażę.

— Ależ panie...

— Nie pójdziemy daleko... znajdujemy się niedaleko stawu, a stamtąd już...

— Kiedy obawiam się...

— Niech pani bez obawy przyjmie moje propozycye. — nalegał Jerzy — Nic pani w mojem towarzystwie grozić nie może.

Młoda dziewczyna zgodziła się w końcu, noc nadchodziła i sytuacya stawała się z każdą chwilą bardziej nieprzyjemną.

Ruszyli więc wskazaną przez Jerzego ścieżką, tak onieśmieleni oboje, że nie mogli się zdobyć nawet na słowa najbanalniejszej rozmowy. Niekiedy tylko spojrzenia ich pociągnięte jakąś magnetyczną siłą zbiegły się ze sobą i wowczas młoda dziewczyna jeszcze silniej zmieszana, szybko odwracała głowę. Po upływie jednak kilkunastu minut rozległy się po lesie donośne wołania:

— Gilberto! Gilberto, gdzie jesteś!

Młoda dziewczyna zatrzymała się.

— Wołają mnie. — rzekła, uśmiechając się z zadowoleniem — To towarzyszki moje, pójdę się z niemi połączyć.

— Oh! Już! — szepnął mimowoli Jerzy, któryby chętnie pragnął przedłużyć tę chwilę.

— Tak trzeba... ale jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc tak chętnie okazaną i nie zapomnę nigdy usługi jaką mi pan wyświadczył.

— Panno Gilberto! — błagalnie wyszeptał Jerzy.

Ale ona go już nie słyszała. Pobiegła szybko w stronę, skąd dochodziły niemilknące wołania i wkrótce zniknęła w gąszczach lasu.

Chwila ta trwała bardzo krótko, wystarczyła jednak do wzbudzenia miłości w dwudziestoletniem sercu Jerzego.

Od tego dnia młody człowiek nie zaniedbał nigdy w niedzielę udać się do lasu w St. Mandé.

Kilka razy ujrzał z daleka Gilbertę przechadzającą się z towarzyszkami i tak zręcznie umiał się ukryć przed oczami drugich, że mógł być tylko przez nią widzianym.

Raz nawet rozmawiał z nią krótko, nie wzbudzając podejrzeń w jej przyjaciółkach.

Gilberta dnia tego, jakby rozmyślnie odłączała się od towarzystwa i szła wolno, pogrążona w głębokiem zamyśleniu.

Jerzy skorzystał ze sposobności i odważył się podejść do niej.

Gilberta nie okazała się ani zdziwioną, ani zagniewaną. Uśmiechnęła się serdecznie i pierwsza wyciągnęła do niego rękę na powitanie.

Kiedy się pożegnali po krótkiej rozmowie, wiedzieli oboje, nie wyznawszy sobie jednak tego, że odtąd życia ich złączone zostały nierozerwalnymi więzami.

Innego dnia, znowu przypadek połączył ich na chwilę. Zima już nadchodziła, przechadzki po lesie musiały ustać z konieczności. Jerzy był dziwnie smutny dnia tego i kiedy mówił do Gilberty, łzy błyszczały w jego oczach.

— Co panu jest, panie Jerzy? — zapytała zaniepokojona.

— Co mi jest? — odparł z przygnębieniem — Czy pani tego nie rozumie? Przyzwyczaiłem się tak widywać panią każdej niedzieli i wyczytałem w oczach pani, że i tobie te spotkania nie są niemiłe. Zdawało mi się, że zajmuję w pani życiu miejsce jakieś. bo moje jest tylko twoją osobą wypełnione, Gilberto. A teraz, jestem zmuszony powrócić do mojej samotności. Życie moje stanie się tak jak dawniej smutne i ciężkie. Gdybyś wiedziała, Gilberto!

— Panie Jerzy! — szepnęła młoda dziewczyna dziwnie zmięszana tym wybuchem.

— Niech mnie pani nie odpycha od siebie!

— Więc czego pan żąda odemnie?

— Jednej, jednej tylko rzeczy, której mi pani odmówić nie może, bo nie obrazi pani w niczem...

— Cóż takiego?

— Chcę widzieć panią niekiedy.

— To niemożliwe!

— Niech pani tak nie mówi.

— Już więcej do lasu wychodzić nie będziemy!

— Zapewne, ale gdyby pani chciała, mogłaby zostawić niekiedy w niedzielę furtkę od zagrodzenia otwartą i mógłbym wejść niedostrzeżony przez nikogo. Oh, Gilberto! Widzieć cię tylko! Widzieć, chociaż na chwilkę! Uniosę ze sobą to wspomnienie, które będzie osłodą długich dni pozbawionych twojego widoku. — Gilberta nie odpowiedziała zaraz. Wahała się, przelękniona, mając przeczucie, że to, o co prosi tak gorąco młody człowiek, stać się nie powinno i pociągnąć może dla niej nieprzyjemne następstwa.

— Nie wiem. panie Jerzy — odparła wkońcu niepewnym głosem — nie wiem, czy tak będzie dobrze... nic panu obiecać nie mogę...

Mówiąc to, pożegnała go szybko i odeszła. Ale kiedy w następną niedzielę Jerzy znalazł się na wązkiej uliczce poza zakładem pani Bourgeois, dostrzegł z radością, że furtka była lekko uchyloną..

Od tej pory nigdy już zamkniętą nie była. Przybywał zawsze o tej samej godzinie, nadsłuchiwał, chcąc przekonać się, że nie grozi mi żadne odkrycie i wchodził do ogrodu, gdzie spędzał kilka chwil w towarzystwie Gilberty.

Otóż tego dnia właśnie, tak, jak było już zaznaczone, Jerzy, przybywszy pod budynek, w którym mieścił się zakład pani Bourgeois, skonstatował ze zdziwieniem, że furtka była zamknięta. Wydało mu się to dziwnem, ale w przekonaniu, że Gilberta opóźniła się tylko i wkrótce nadejdzie, usiadł na ławce, znajdującej się w pobliżu i czekał.

Dwadzieścia minut upłynęło, żaden szmer nie doszedł go z tamtej strony ogrodzenia i młody człowiek zaczął się już na dobre niepokoić, czy jakie nieszczęście nie spotkało Gilbertę, lub tajemnica ich, dotąd tak dobrze utrzymana, nie została przejętą przez jej towarzyszki, kiedy nareszcie stare drzwiczki skrzypnęły na zawiasach i rozwarły się lekko, przepuszczając jasną głowę młodej dziewczyny.

Jednym skokiem Jerzy znalazł się przy niej, chwytając gwałtownie jej rękę.

— Ah, gdybyś wiedziała, Gilberto! Byłem już tak niespokojny o ciebie!

— Dlaczego?

— To opóźnienie nasunęło mi tysiąc najdzikszych przypuszczeń. Lękałem się, czy nie jesteś chora, czy nie odkryto naszych spotkań.

— Ale już teraz uspokoiłeś się, Jerzy?

— Skoro cię widzę! A jednak od dni kilku czuję w sobie dziwny jakiś smutek.

— Z jakiej przyczyny?

— Nie mógłbym tego wyjaśnić... Bo wiesz, Gilberto, od pierwszej chwili, w której cię po-

znałem, nieokreślony niepokój mną owładnął. Gdyby nas miano rozłączyć...

— Nie myśl o tem, to niemożliwe!

— A jednak właśnie jest to jedyna troska moich myśli!

— Cóżby nas mogło rozłączyć, Jerzy?

— Wola twojej rodziny, Gilberto, twoich rodziców... Przecież którego dnia przybędą tu po ciebie i zabiorą cię... Cóż się wówczas stanie ze mną, ze mną, który żyję tylko obecnością twoją!

Gilberta potrząsnęła łagodnie głową i spojrzała poważnie na towarzysza.

— Moja rodzina? — powtórzyła z lekkiem drżeniem w głosie — Niestety, Jerzy, ja nie mam wcale rodziny!

— Co mówisz, Gilberto?

— Rodzice moi umarli, kiedy jeszcze byłam małem dzieckiem... Nie przypominam sobie nawet ich imion... To straszne, nieprawdaż? Oh, ja tak często o tem myślę! Przecież każdy ma kogoś na świecie... ojca... matkę... brata... Ale ja nie mam nikogo... zupełnie nikogo!...

— Czy to możliwe?

— Podobno, kiedy miałam dwa lata, zaopiekował się mną jakiś robotnik. Wówczas miałam jeszcze siostrę, starszą... Biedna Helena!... Gdzież ona może być obecnie, co się z nią stało? Robotnik, który nas zabrał do siebie, znęcał się nad nami bardzo. Siostra moja, jak tylko stała się starszą, uciekła stamtąd i odtąd nie wiem co się z nią stało!...

— Ale ty, ty, Gilberto — zawołał zdumiony tą wiadomością Jerzy. — Jakim sposobem dostałaś się do tego domu, gdzie, jak mi mówiłaś, otaczają cię najserdeczniejszą opieką?

— To długa historya — odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Opowiedz mi ją, Gilberto, błagam cię! — prosił Jerzy. — Mój Boże! Dlaczego ja wcześniej o tem nie wiedziałem!...

— Już nieraz chciałem ci o tem mówić, ale widujemy się tak rzadko i tak krótko... Po zniknięciu mojej siostry byłam jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Mieszkaliśmy wówczas na ulicy Pixecourt w Belleville. Ten robotnik, u którego byłam, popadł w wielką nędzę i nieraz głodna spać się kłaść musiałam.

— Biedna Gilberto — szepnął Jerzy, ściskając serdecznie rękę dziewczyny.

— Wyprowadziliśmy się wkrótce stamtąd i zamieszkaliśmy na ulicy Romainville, w okropnem, nędznem mieszkaniu, gdzie z pewnością umarłabym z głodu, gdyby mi los nie zesłał na ratunek zacnego człowieka, który się mną zajął...

— Kto to był?

— Nie wiem.

— Cóż on uczynił z tobą?

— Odebrał mnie z rąk tego robotnika i umieścił w tym pensyonacie, gdzie dotąd przebywam i gdzie naprawdę czuję się bardzo szczęśliwą...

— Ten człowiek musi być zapewne krewnym twoim, Gilberto?

— To możliwe, ale nie zdaje mi się, żeby tak było. Kocha mnie, jakgdyby był moim ojcem i powtarza mi często, że celem jego życia jest zapewnić mi szczęście.

— I nie dowiedziałaś się, kto to jest?

— Nie. Jednego razu, kiedy prosiłam go, aby mi powiedział kim jest dla mnie i dlaczego tak interesuje się moją osobą, odpowiedział, że nie powinnam nigdy zadawać mu takiego pytania i starać się zbadać tajemnicę, którą musi być otoczony. Dodał, że kiedyś, w przyszłości, sam wyjaśni mi wszystko, ale że teraz nic więcej od niego się nie dowiem.

— To wszystko, co słyszę od ciebie, Gilberto, dziwne jest bardzo i nienaturalne... Moje niepokoje więc były słuszne, bo przeczuwam, że od tego człowieka grożą nam niebezpieczeństwa, zagrażające mojemu szczęściu.

Gilberta jednak przyjęła te słowa z uśmiechem.

— Odrzuć więc te niepokoje, Jerzy — rzekła, obejmując go spojrzeniem, pełnem serdeczności — bo przyrzekam ci, że wkrótce będziemy wiedzieli o jego postanowieniu względem nas.

— W jaki to sposób się stanie?

— Powiem mu wszystko. Powiem mu, że mnie kochasz, a jeżeli to nie wystarczy, dodam, że i ty nie jesteś mi obojętny...

Błysk szalonej radości przebiegł twarz młodego człowieka na to nieoczekiwane wyznanie. Porwał ręce Gilberty, okrywając je gorącymi pocałunkami.

Młoda dziewczyna, zmieszana tym wybuchem, cofnęła się o kilka kroków, ale nagle zbladła i opuściła głowę na piersi. Z bocznej alei ogrodu ujrzała wyłaniającą się z poza drzew wyniosłą postać swojego opiekuna.

— Co ci jest, Gilberto? — zapytał Jerzy, nie zgadując powodu wzruszenia młodej dziewczyny.

— To on! — szepnęła Gilberta, podnosząc na niego wylęknione spojrzenie.

— Kto taki?

— Ten, o którym mówiliśmy właśnie. Nadchodzi tutaj.

— I lękasz się, aby nas nie ujrzał razem? Gilberta zawahała się chwilę, poczem z łagodną stanowczością ujęła rękę Jerzego i rzekła poważnie:

— Nie, nie odchodź Jerzy! Nadarza się dobra sposobność, rozmówię się z nim natychmiast...

I nie czekając na jego odpowiedź, poszła na spotkanie pułkownika.

Pułkownik Robert spostrzegł już był młodego człowieka, rozmawiającego z Gilbertą i głębokie zdumienie osiadło na jego twarzy surowej. Pomimo wielkiego panowania nad sobą, nie mógł zataić gniewu, jaki się w nim wzbudził i z błyszczącemi od wewnętrznego podrażnienia oczami zbliżył się do młodej dziewczyny.

Jerzy pozostał kilka kroków w tyle. Chociaż ta sytuacya była dla niego bardzo niemiłą, miał na tyle przytomności umysłu, aby dostrzedz niezadowolenie pułkownika i odgadnąć jego myśli.

— Jakże szczęśliwą jestem, że pana widzę — zawołała żywo Gilberta — właśnie pragnęłam bardzo tych odwiedzin, bo...

Nie miałem być tu dzisiaj — przerwał zimno pułkownik. — Ale przypomniałem sobie, że to dziś niedziela i że jesteś wolną, chciałem więc skorzystać z tego.

Poczem, udając że dopiero teraz spostrzega Jerzego, spojrzał surowo na młodą dziewczynę i dodał niechętnie:

— Widzę, że nie jesteś samą Gilberto!

— Rzeczywiście — szepnęła dziewczyna, nie śmiejąc spojrzeć w stonę Jerzego.

— Czy pani Bourgeois upoważniła cię do odbierania odwiedzin w ogrodzie zakładu?

— Wytłumaczę panu...

— Kto jest ten młody człowiek? — zapytał gwałtownie pułkownik podrażnionym głosem.

— To jest... — zaczęła młoda dziewczyna, ale głos jej się załamał i stanęła drżąca i oniemielona, nie wiedząc co począć ze sobą. Przed chwilą czuła się jeszcze tak odważną i pewną siebie, ale teraz, wobec surowej postawy opiekuna, odwaga ta ją opuściła zupełnie i lękała się zwierzenia, jakie mu miała uczynić.

Jerzy nie mógł znieść dłużej tej przykrej sceny i postąpił żywo ku pułkownikowi.

— Pana zdziwienie jest słuszne — rzekł głosem pewnym i szczerym — i obowiązkiem moim jest go bezzwłocznie usunąć, skoro ja przyczyniłem się do tego. Jeżeli znalazł mnie pan w towarzystwie panny Gilberty, to dlatego, że ją kocham i...

— Do dyabła, mój panie! — odparł pułkownik — mogłem łatwo domyśleć się tego bez pańskiego wyjaśnienia. — Jednakże nie wiem, kto pan jesteś?

— Jestem skromnym urzędnikiem, nie mam majątku, ale umiem pracować i przysięgam, że jeżeli mi pan zawierzy szczęście panny Gilberty, nie pożałuje pan tego nigdy!

— Doskonale! Zapewne Gilberta podziela również uczucia pana. Jednakże, przyzna pan sam, że w podobnych okolicznościach należy być ostrożnym i niełatwowiernym. Szczęście Gilberty jest dla mnie zbyt ważną rzeczą, abym mógł zawierzyć tylko słowom pana, nie mając jasnych dowodów, że nie są one kłamliwe...

— Chciałem dowodów tych udzielić natychmiast — przerwał Jerzy — i jeżeli pan chce być całkiem przekonany co do mojej osoby, to może się pan zwrócić na ulicę Abbaye, do pana Cypryana Leduc, mojego przełożonego.

Pułkownik, który dotąd słuchał z lekką ironią słów młodego człowieka, zadrżał lekko, usłyszawszy nazwisko starego archiwisty. Człowiek ten, którego już raz spotkał na swojej drodze w okolicznościach niezwykłych, przypomniał mu się teraz znowu w chwili najmniej stosownej i pożądanej.

Pułkownik brwi ściągnął z niezadowoleniem i spojrzał uważniej na Jerzego.

— Pan Cypryan Leduc! — wyrzekł powoli. — Więc pan pracuje u niego?

— Tak jest.

— Bardzo dobrze. Zobaczę się z nim, rozmówię, a potem zobaczymy. Pan jest młody i o ile się mi zdaje, dosyć intelligentny, jeżeli więc Gilberta pana kocha...

Młoda dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, ale pułkownik udaremnił jej zamiar stanowczym ruchem ręki.

— Nie przyspieszajmy nic, Gilberto — rzekł łagodniejszym już głosem. — Pan Jerzy oddali się teraz i przyrzeknie, że bez mojego osobistego pozwolenia nie będzie się starał spotkać z tobą. Kiedy rozmówię się z panem Leduc, sytuacya się wyjaśni i stanie się regularną, wówczas będzie mógł tu przychodzić bez przeszkody. Mogę jeszcze dodać dla uspokojenia pana, że szczęście Gilberty jest mi tak drogie, jak moje własne!

Jerzy skłonił się przed pułkownikiem bez słowa, objął młodą dziewczynę długiem spojrzeniem, w którem zawarł całe swoje gorące uczucie i po chwili wychodził z ogrodu, otaczającego zakład pana Bourgeois.

Jednakże po odejściu Jerzego Gilberta uczuła w sobie dziwną pustkę i niepokój. Milczała, trzymając wzrok spuszczony ku ziemi. Słowa pułkownika, chociaż przyznać była zmuszona, że racyonalne były i sprawiedliwe, obudziły w jej duszy gorycz i smutek.

Pułkownik zaś obserwował ją bacznie, chcąc wyczytać z jej twarzy uczucia, na którychby mógł budować własne postanowienia. Ale pomimo wytężonej uwagi, nie odkrył nic więcej, ponad objawy szczerej i niewinnej miłości, nie umiejącej jeszcze się ukrywać.

— Kochane dziecko! — odezwał się w końcu, zbliżając się do niej — Widzę, że nie jesteś zadowolona ze mnie, a jednak nie mogłem inaczej uczynić. Słowa moje miały tylko na celu twoje szczęście i musisz zrozumieć, że mogę być słusznie zaniepokojony nieostrożnością, której się lekkomyślnie dopuściłaś!

— Nieostrożnością? — powtórzyła cicho Gilberta, podnosząc głowę.

— Zapewne. Jesteś młoda, nie znasz jeszcze życia, a tembardziej mężczyzn. Stać się łatwo może, że ktoś nadużyje twojej wiary, którą umieścisz w niegodnych rękach.

— Przypuszczam, że nie o Jerzym myśli pan, mówiąc to — odparła żywo młoda dziewczyna.

— Przeciwnie, o nim właśnie, moje dziecko!

— Ależ on jest szlachetny i dobry!

— Mylisz się Gilberto!

— Pan go obraża!

— Jesteś zaślepiona, biedne dziecko! Ten młody człowiek jest nieprzyjacielem twoim!

— On?!

— I jeżeli zawierzysz mu — ciągnął dalej pułkownik Robert ze wyrastającem zniecierpliwieniem — jesteś zgubiona!

— Ależ on mnie kocha... to niemożliwe... pan się myli! — broniła się gorąco Gilberta.

— On cię kocha?... Wierzysz w to?...

— Jakże wierzyć nie mam!

— On cię oszukuje!

— Ależ przed chwilą jeszcze przysięgał mi!

— Kłamał!

— Nie, nie, to nie prawda! Nigdy w to nie uwierzę! Dlaczego pan mówi tak okrutne rzeczy?!

Ironiczny uśmiech wykrzywił twarz pułkownika.

— Posłuchaj mnie, Gilberto! — Znam dobrze życie i ludzi, i obowiązkiem moim jest bronić cię przed słabością własnego serca. W twoim wieku niechętnie wierzy się w zło. Wierz mi, z przykrością głęboką jestem zmuszony rozwiać twoje iluzye, których dusza twoja nieświadomie się uchwyciła. Jednakże muszę ci powiedzieć prawdę, choćby postępowanie moje nazwać mogła okrutnem, bo chcę cię oderwać od niebezpieczeństwa, jakie ci grozi.

— Boże! — szepnęła Gilberta, blednąc.

— Powiedziałem ci, że ten młody człowiek jest nieprzyjacielem twoim i dowiodę ci tego... Ale, aż do dnia, w którym będę ci mógł przedstawić dowody potrzebne, przyrzeknij mi...

— Co? Oh, niech pan mówi!... Niech pan mówi! — zawołała młoda dziewczyna błagalnie.

— Przyrzeknij mi, że nie będziesz się starać go widzieć, i że unikać będziesz tych nieostrożnych spotkań, a przedewszystkiem powiesz mi, gdyby on w jaki sposób usiłował dostać się do ciebie. Czy jest to poświęcenie ponad twoje siły, Gilberto?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Z tygodnia.

## Uchwały Rady Stanu w sprawie armii i rządu polskiego.

Na plenarnem posiedzeniu Rady Stanu w Warszawie w dniu 15. b. m. uchwalono szereg wniosków, zmierzających do sanacyi stosunków wojskowych. Rada Stanu stwierdza w nich, że „jest najwyższą władzą polityczną wojska polskiego“. Odpowiednie wnioski Rady Stanu brzmią, jak następuje:

1) Tymczasowa Rada Stanu do chwili utworzenia rządu polskiego pełni zastępczo funkcye rządowe polskie. Aktem Tymczasowej Rady Stanu, jako zastępcy rządu, było wezwanie żołnierzy do złożenia przysięgi wojskowej. Przez sam fakt przyjęcia przysięgi od wojska polskiego Rada Stanu stała się najwyższą dla tego wojska władzą polityczną polską. Od tej chwili bez zgody Rady Stanu wojsko polskie nie może być użyte na froncie. 2) Legiony użyte będą obecnie zgodnie ze swem przeznaczeniem wyłącznie jako kadry wojska polskiego.

Druga uchwała zapadła w sprawie tworzenia w Rosyi armii polskiej. Uchwalony przez Tymczasową Radę Stanu wniosek przeciw tworzeniu armii na obczyźnie brzmi:

„Tymczasowa Rada Stanu, jako rząd polityczny państwa polskiego, wzywie społeczeństwo polskie poza granicami kraju, ażeby tworzone tam oddziały wojskowe polskie nie miały politycznego charakteru armii polskiej i nie były użyte w wojnie obecnej“.

Na temże posiedzeniu Rady Stanu postanowiono przystąpić niezwłocznie do organizowania władz państwowych polskich. Odnośny wniosek opiewa:

„Tymczasowa Rada Stanu przystąpi niezwłocznie do organizowania władz państwowych polskich w myśl projektu, uchwalonogo w dniu 3. lipca bieżącego roku“.

## W setną rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki.

Zbliża się chwila, kiedy naród polski we wszystkich swych dzielnicach obchodzić będzie setną rocznicę zgonu nieśmiertelnego swego Naczelnika. — Aby przygotować społeczeństwo do tego obchodu, wielkopolska Rada Narodowa wydała następującą odezwę:

„W chwilach przełomów dziejowych Opatrzność zsyła narodom męże, co — obdarzeni mocą przenikania tymczasowych mroków — wiodą je świetlanym szlakiem ku przyszłości jasnej, promiennej. Takim mężem opatrznościowym jest Tadeusz Kościuszko.

On sprawił, że gdy przemoc zewnętrzna Polskę bez rozgłosu do grobu wtrącić pragnęła, imię Jej zabłysło dawną świetnością i chwałą. On sprawił, że cudowny zdrój bohaterstwa wytrysnął z pod chłopskiej sukmany, że ojczyźnie z czarnej ziemi wyrósł nowy legion obrońców. On sprawił, że w czyn zamieniły się wskazania Wielkiej Konstytucyi. On o wiek cały wyprzedził ludzkość, a hasła, za które, z imieniem Polski na ustach i w sercu, walczył na obu półkulach, hasła podniesienia i uobywatelnienia ludu, równouprawnienia wszystkich stanów, uszczęśliwienia całej ludzkości dziś dopiero największe święcą tryumfy.

Odszedł przed wiekiem, żywie jednak w nas, bo z ducha był Narodu. Żywie, bo był tą siłą niespożytą, co przez pokolenia trwa i broni, co podnosi wzwyż ku najszczytniejszym ideałom, co daje hart wytrwania w obronie świętej idei.

Dziś za zmiłowaniem Bożem Polska zmartwychwstająca zabiera się uczcić w stuletnim obchodzie pamięć wielkiego Bohatera.

Do hołdu więc wzywamy!

Niechaj nie będzie serca polskiego, które z okazyi setnej rocznicy zgonu Tadeusza Kościuszki nie dozna wszystkich tych uczuć, co rozpłomienić się winny na wspomnienie Jego przysięgi, na wspomnienie Racławic i Maciejowic. Niechaj nie będzie ni miasta, ni sioła, gdzie na uroczystych obchodach narodowych nie uczczonoby Jego pamięci.

Świętem tem Polska cała złączyć się winna w swym hołdzie!“

## Nowa rewolucya w Petersburgu.

Rewolucya w Petersburgu od marca właściwie trwa bez przerwy. Żywioły anarchistyczno i socyalistyczno-komunistyczne, opierając się o masę robotniczą, obecnie zaopatrzoną w broń i o niektóre specyalnie zrewolucyonizowane pułki, dążą bezustannie, wszczynając uliczne niepokoje, do obalenia rządu tymczasowego rosyjskiego. Te niepokoje, aczkolwiek stałe, nie miały większych rozmiarów. Atoli w dniach 16 i 17 b. m. rozruchy przez anarchistów i „bolszewików“ wszczęte, przybrały rozmiary otwartego buntu i charakter zamachu stanu, tembardziej, że przyszła im ze zbrojną pomocą „samodzielna“ a rewolucyjna „republika kronsztadzka“. Oto jak telegram, za pośrednictwem urzędowej Petersburskiej Agencyi Telegraficznej wysłany przez prezydenta ministrów ks. Lwowa do komisarzy rządowych na prowincyi opisuje wydarzenia z dni 16 i 17 lipca:

„Rano 16 lipca przyszedł do Petersburga szereg oddziałów wojskowych z Kronsztadu, z Oranienbaumu i Peterhofu, w południe przyłączyły się do nich jeszcze trzy pułki i jeden batalion grenadyerów garnizonu petersburskiego, prócz tego ogromne tłumy uzbrojonych ludzi. Oddziały te udały się do pałacu Taurydzkiego, gdzie odbywały się narady R. R. Z. jakoteż rady posłów włościańskich i urządziły tam zbrojną manifestacyę. Niesiono chorągwie z napisem: „Precz z kapitalistycznymi ministrami!“ „Domagamy się, by cała władza przeszła w ręce rad robotniczo-żołnierskich!“ Nastrój tych, którzy brali udział w demonstracyi, był jednak dla większości tych rad nieprzyjazny. Równocześnie pojawiło się na ulicach mnóstwo uzbrojonych robotników i głosiło te same hasła. Zarekwirowane samochody, zwykłe i ciężarowe, z karabinami maszynowymi i uzbrojonymi ludźmi, przejeżdżały przez miasto. Przez cały dzień padały strzały. Byli zabici i ranni. O szóstej wieczór wojsko i uzbrojeni robotnicy próbowali uwięzić Ceretellego. Dostali w swe ręce ministra rolnictwa Czernowa, którego puścili na wolność dopiero po mowie bolszewika Trockiego. Równocześnie wielki podnieceny a uzbrojony tłum otoczył pałac Taurydzki i próbował wtargnąć do wnętrza.

Podczas całego dnia ks. Lwow i inni przedstawiciele rządu zajęci byli w sztabie petersburskiego gubernatora wojskowego opracowaniem zarządzeń dla stłumienia niepokojów. W tym celu rząd powołał z okolicy do stolicy kilka cial wojskowych. Po ich przybyciu posłano część wojska do pałacu Taurydzkiego, gdzie tłum oblegał Radę Robotniczo Żołnierską. W drodze wojsko to, które miało z sobą artyleryę, dostało się pod ogień krzyżowy karabinów i karabinów maszynowych. Były przy tem znaczne straty. Wkończu artylerya dała salwę i utorowała sobie natychmiast drogę rozprószywszy tłum. Żywy ogień karabinowy rozpętał się także w ulicy Ertelew, a potem na Prospekcie Letnim. Uzbrojony tłum chciał opanować wojskowe biuro wiadomości na wybrzeżu Wozniesieńskiem, ale wojsko nie dopuściło do tego.

Dzięki wydanym przez rząd zarządzeniom stłumiono bunt i około północy zapanował na ulicach spokój. Wojska rządowe rozbroiły samochody i uzbrojone grupy ludzi. Aby zapobiedz ponowieniu się rozruchów, rząd wydaje wszelkie konieczne zarządzenia i dokonywa uwięzień. Wczoraj rano otwarto wszystkie mosty petersburskie łączące dzielnice miasta ze sobą. Gubernator wojskowy Petersburga, generał Połowcew, kazał ogłosić odezwę, która powiada, że wykonując rozkaz rządu, usunięto ze stolicy ludzi, którzy z bronią w ręku zagrażali bezpieczeństwu i mieniu obywateli i rozkazano wojskom przywrócić porządek publiczny. Gubernator wzywa dalej ludność by dla uniknięcia nieszczęśliwych wypadków bez pilnej potrzeby nie wychodziła z domów. Równocześnie rząd zawiadamia komisarzy rządowych o zarządzeniach poczynionych w celu stłumienia rokoszu w Petersburgu i wzywa ich do wydania potrzebnych zarządzeń w celu przeszkodzenia podobnym niepokojom na prowincyi“.

Oczywiście, że urzędowo-rosyjska agencya przedstawia całe zajście w sposób możliwie złagodzony. Ale i ona nie może zaprzeczyć, że pomiędzy wojskiem rządowem a rewolucyjnem stoczono formalne krwawe bitwy na ulicach stolicy, że rewolucyoniści oblegali pałac rządu, aby uwięzić jego członków, że trzeba było używać armat, aby stłumić bunt. A pomimo jego „stłumienia“ bunt ten miał dla rządu następstwa. Jak urzędowo angielskie Biuro Reutera donosi z Petersburga: ks. Lwow podał się do dymisyi. Kiereński został prezydentem ministrów i zatrzymuje także tekę ministerstwa wojny. Ceretelli został ministrem spraw wewnętrznych, pozostaje również na stanowisku ministra poczt i telegrafów. Nekrasow objął tymczasowo tekę sprawiedliwości. Podał się bowiem do dymisyi minister Pierewiercew, stanowczy przeciwnik rewolucyonistów, zwolennik „silnej ręki“. Za cenę więc tych ustępstw i siłą oręża udało się pierwszemu rządowi rewolucyjnemu opanować chwilowo drugą rewolucyę w Petersburgu.

## Kwestya wojny i pokoju w Niemczech.

Niemcy, chociaż dotąd zwycięskie w wojnie światowej, a może właśnie dlatego, że zwycięskie, nie wahają się przed omawianiem kwestyi zawarcia pokoju. Ze strony niemieckiej już po raz drugi czy trzeci pada oświadczenie gotowości do zawarcia pokoju honorowego, polegającego na porozumieniu się narodów, a nie na ich uciemiężeniu, pokoju bez aneksyi i odszkodowań.

Takiego znamiennego wynurzenia był widownią parlament Rzeszy niemieckiej w dniu 19. b. m. Po niedawnem przesileniu kanclerskiem, w którem padł Bethmann Hollweg, a wystąpił na widownię Michaelis, nowy kanclerz w obliczu parlamentu wyjaśnił stanowisko rządu niemieckiego wobec kwestyi pokoju, podczas gdy trzy najgłówniejsze stronnictwa parlamentu składały również swoje w tej sprawie deklaracye. Kanclerz oświadczył:

„Niemcy nie chciały wojny, aby siłą zdobywać kraje, dlatego ani jednego dnia dłużej nie będą prowadziły wojny, jeżeli będą mogły otrzymać pokój honorowy. Pragniemy — rzekł kanclerz — przedewszystkiem zawrzoć pokój, jako ci, którzy skutecznie postawili na swojem. W tym duchu chcemy rozpocząć rokowania, gdy czas nadejdzie. Nie możemy jeszcze raz ofiarowywać pokoju, skoro dłoń nasza, podana uczciwie i pokojowo, natrafiła na próżnię.

Granice Rzeszy niemieckiej muszą być po wsze czasy zabezpieczone. Musimy drogą porozumienia zapewnić Rzeszy niemieckiej warunki żywotne na lądzie i poza morzami. Pokój musi się stać podstawą trwałego porozumienia narodów. Trzeba zapobiedz temu, by orężny sojusz naszych nieprzyjaciół nie przemienił się w sojusz gospodarczy, skierowany przeciw nam. Cele te dadzą się osiągnąć w ramach rezolucyi większości parlamentu, tak, jak ją pojmuje kanclerz. Jeżeli nieprzyjaciele pragną rozpocząć rokowania, to cały naród niemiecki, zarówno wojsko, jak jego przywódcy, o ile zgadzają się z tem oświadczeniem, są jednego zdania: mianowicie zapytujemy przeciwników, co oni mają nam do powiedzenia. Potem pragniemy uczciwie i ze skłonnością do pokoju wziąć udział w rokowaniach. Do tego czasu wytrwamy spokojnie.“

Następnie przemawiali posłowie różni imieniem swych partyi, poczem parlament większością głosów przyjął wspólną rezolucyę pokojową trzech stronnictw: katolickiego centrum, socyalistów z większości i postępowych ludowców. (Polacy wstrzymali się od głosowania). Rezolucya ta brzmi:

„U progu czwartego roku wojny, oświadcza Sejm Rzeszy:

Jak w dniu 4. sierpnia 1914 r., miarodajną jest dla narodu niemieckiego także teraz zasada, że nami nie powoduje chęć zdobyczy. Niemcy chwyciły za broń tylko w obronie swej wolności, swej samodzielności i nienaruszalności granic.

Odsuwając myśl o powiększeniu obszaru państwowego przez użycie siły, dąży Sejm Rzeszy niemieckiej do pokoju na zasadzie porozumienia i trwałego pojednania narodów.

Taki pokój wyklucza polityczne, gospodarcze i finansowe wymuszenia. Również odrzuca Sejm Rzeszy wszelkie plany, zmierzające do gospodarczego odcięcia i poważnienia narodów po wojnie. Tylko pokój gospodarczy, wolność mórz po wojnie, może przygotować grunt do trwałego, przyjacielskiego współżycia narodów.

Wychodząc z tego rozważania i mając te cele na oku, Sejm Rzeszy niemieckiej przyłoży skutecznie starania do powstania międzynarodowych instytucyi prawnych.

Jak długo nieprzyjacielskie rządy taki pokój odrzucają, trwać będzie naród niemiecki niezłomnie niewzruszony i wytrwa w walce na śmierć i życie o prawa swoje i swoich sprzymierzeńców.

Naród niemiecki wie, że, przy zachowaniu swej jedności, pozostanie niezwyciężonym.“

Zdawało się, że anioł pokoju już niepodzielnie włada swoją różdżką oliwną. Lecz oto znowu przypomniała się wojna. W czasie obrad nadeszła następująca depesza od generała Hindenburga:

„Do kanclerza państwa niemieckiego w parlamencie!

Na wyzwanie, rzucone przez Rosyan w Galicyi, rozpoczął się tam dziś silny atak pod osobistem kierownictwem generała marszała polnego ks. Leopolda bawarskiego. Niemcy, wsparci przez wojska austro węgierskie, przełamali stanowiska rosyjskie koło Złoczowa.“

Niemcy więc jednocześnie okazały swoją gotowość do pokoju i zdolność do dalszej wojny. Nieprzyjaciele na pierwszą nic dotąd nie odpowiedzieli. Drugiej, zdaje się, nie spodziewali się.

# Kronika tygodniowa.

Wyleźliśmy więc zupełnie z owego katastrofalnego miesiąca trzęsień ziemi, wchodząc natomiast z powrotem w czasy kanikularne, gdy już zaczęto się nie na żarty obawiać, iż niebiosa, które bardzo skąpo wogóle w tym roku obdarzają nas wilgocią, akurat teraz, gdy zbliżają się żniwa, otworzą upusty i dadzą nam dżdżu więcej, niż potrzeba.

Tak się przecież nie stało. Żniwa się rozpoczynają, pogoda zdaje się być na dłuższy czas pewną.

Ale czy to kogo zadowolni?... Bynajmniej!... Mieliśmy pogodę — wzdychano do deszczu, zaledwie przecież spadło kilkanaście kropli, ci sami, którzy tak go pożądali, zaczęli się oglądać na niebo, czy się też przeciera, czy nie, motywując swe troski żniwem i wycieczkami wakacyjnemi.

No i... wytarło się, pogoda jest, a tu znów inna gromada zaczyna tęsknić za deszczem, twierdząc, że bez niego nie udadzą się ziemniaki, które dziś już doszły do pięknej ceny sto pięćdziesiąt koron za sto kilo, jest więc nadzieja, że, gdzieś koło stycznia, będzie się je naprawdę sprzedawało na wagę złota, albo na karaty. Poruczenie sprzedaży aptekarzom i wydawanie ich tylko za receptą uważam za niepraktyczne, choć wiem, że panowie aptekarze bez wahania przyjęliby na się i ten trud, zapewniający bardzo piękne dochody.

Po inne lata wyglądał Kraków zupełnie inaczej o tym czasie. Kto tylko mógł, wyjeżdżał na świeże powietrze, w mieście zostawała tylko garstka słomianych wdowców i tych, którzy nie mieli pojechać gdzie, albo za co. A dziś?... Dziś zupełnie inaczej! Słomianych wdowców, być może ze względu na drożyznę i brak słomy, prawie zupełny brak, mógłbyś ich policzyć na palcach, wojennych natomiast wdów i kandydatek na nie taka moc, iż słomiany wdowiec nie ma bynajmniej powodu do narzekania i do obawy konkurencyi ze strony nielicznych towarzyszy niedoli. Ruch więc w mieście i poza miastem pomimo gorąca, dziennikarze są w siódmem niebie, nie potrzebując urządzać polowań kanikularnych na kaczki dziennikarskie, węże morskie i inne tym podobne sensacye, gdy się ma pod ręką tyle innego materyału, który, aż się prosi, by się mógł dostać na papier i przy jego pomocy wyjechać w świat szeroki.

Wystarczy powiedzieć, że nawet Rada miejska urzęduje i ani myśli o wakacyjnych wywczasach, czyli, że, innemi mówiąc słowy, wojna obecna zwykły porządek światowy przewróciła do góry nogami. I kronikarz siedzi w Krakowie, choć wybierał się na wojaż, ale bynajmniej nie zataja, dlaczego zrezygnował z projektu podróży. Zawsze to lepiej i wygodniej na swych własnych śmieciach, niż tułać się gdzieś po obczyźnie i nie mieć co do ust włożyć. Ogólne to zdanie tych, którzy wyjeżdżali z Krakowa, że u nas nie jest najlepiej, ale gdzieindziej jest stanowczo jeszcze gorzej.

Skłamałbym jednak, pisząc, że nigdzie nie wyjeżdżałem. Owszem! W owym katastrofalnym miesiącu, gdy naprężenie między mną a Weronisią doszło już do ostatecznych granic, postanowiłem wybrać się na kongres socyalistów do Sztokholmu. Ponieważ uczono mnie, że prosta droga jest najpewniejszą, wiedząc o tem z geografii, że Sztokholm leży na północy, obrałem takiż kierunek, niestety, przekonałem się, że owa linia kolejowa dochodzi tylko do Kocmyrzowa i tam się urywa. Dalej trzebaby więc iść piechotą, a na to znów moje odnóża (ostatnia para!) nie pozwalają. Wróciłem więc z drogi, odwiedziwszy przy tej sposobności znajomych, w tamtej okolicy mieszkających. Na tem miejscu muszę stwierdzić, iż cnota staropolskiej gościnności w społeczeństwie zupełnie nie wygasła!

Gdym się znalazł w domowem zaciszu, Weronisia zdziwiła się ogromnie, wiedząc, że wyjeżdżam na kilka tygodni i jestem pewny, że myśli, iż sfingowałem ową podróż tylko w tym celu, by się przekonać, czy mnie nie zdradza. Nie wybijam jej tego z głowy, gdyż widzę, że to przeświadczenie ogromnie jej przypadło do gustu i zaczyna nawet mieć już sama o sobie daleko lepsze, niż dotąd, wyobrażenie.

Ale czas już najwyższy, by przejść do porządku dziennego, raczej tygodniowego.

Na pierwszem miejscu znajdzie się naturalnie opera, jeśli tak ją nazwać się godzi. Powiedział pewien filozof, że „nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“, drugi przysłowie to zastosował do Rady miejskiej i opery i miał zupełną racyę.

Wspominałem już kilkakrotnie na tem miejscu o krakowskiej operze, bez której jakoś żyliśmy i było nam dobrze, ściągnąłem przez to nawet na swą głowę niewinną gromy, iż jestem zaplesniałym zacofańcem, który nie wie, lub nie chce wiedzieć, czego Wielkiemu Krakowowi potrzeba. Tak bowiem, jak lampa naftowa bez knota obejść się nie może, tak i Ateny polskie nie powinny i nie mogą się obejść bez opery i to prowadzonej we własnym zarządzie gminnym. Ale jak owa lampa, choć ma knot, czasem kopci, tak też i opera może być źródłem różnych dyssonansów. I to właśnie się spełniło. Nie mówiąc już o owych dyssonansach w ścisłem tego słowa znaczeniu, które na scenie krakowskiej w obecnym sezonie prawie nie schodzą z porządku dziennego, mamy nadto ciągłą, prawdzie kanikularną polemikę na szpaltach naszych pism codziennych, czy odpowiedziano celowi, czy też nie. Jak dotąd, głosy odzywają się przeważnie krytykujące i to nawet dość ostro, że przypomnę tylko słowa jednego z sprawozdawców o przedstawieniu „Opowieści Hoffmanna“: „Spotkaliśmy się wczoraj z nowym eksperymentem kierownictwa operowego, stwierdzającym aż nadto wymownie brak systemu, programu i przygotowania, oraz karygodne lekceważenie ze strony miasta publiczności, drogo opłacającej bilety wstępu“.

I trzeba tego było miastu?... Czy ma mało kłopotów innych, daleko ważniejszych, że musiało sobie „kupić operę“?...

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec. To jest moralny sukces przedsięwzięcia, a jest jeszcze i materyalny, w postaci deficytu, który przecież łatwo pokryć przez zaciągnięcie nowej pożyczki, gdyż Kraków ma kredyt.

Zaciągamy znowu kilkomilionową pożyczkę na inwestycye w miejskiej gazowni, elektrowni i wodociągach, powinno się więc znaleźć i kilkadziesiąt tysięcy na zatkanie „operowej“ dziury w budżecie miejskim, który przecież zżył się już z deficytem do tego stopnia, że się bez niego obejść nie potrafi.

Wogóle stwierdzić należy, że na umiastowieniu krakowskiego teatru prawdziwa sztuka wyszła jak najgorzej, widocznie więc ci, którzy tem się zajmują, albo mało się na prowadzeniu tego rodzaju przedsiębiorstwa znają, albo też mają nieszczęśliwą rękę. Wszystko to jednak ma się zmienić, (oby tylko na lepsze!) gdy komisyę teatralną wzmocni się powołaniem nowych sił, żyjących tylko sztuką i dla sztuki!...

Ze względu na „umiastowienie“ teatru należałoby przypuścić, iż los artystów i artystek, pracujących w miejskiem przedsiębiorstwie, powinien być daleko lepszy, niż ongiś, gdy narażeni być mogli na łaskę jednostki, mnszącej się oglądać na to, by związać koniec z końcem i nie być zmuszoną do zamknięcia rocznych rachunków deficytem. Pokazało się przecież, że tak nie jest, bo i gmina kieruje się w tym wypadku zasadami zupełnie takiemi samemi, jak prywatny przedsiębiorca. Chodzi tu o odmówienie wypłaty gaży za miesiące wakacyjne tym aktorom, którzy z miastem kontraktów na przyszły sezon nie odnowili. Jest to bardzo skuteczny środek na złamanie oporu, ale też z drugiej strony i bardzo niebezpieczny, łatwo bowiem stać się może, że w tych warunkach braknie chętnych, którzy ofiarowaliby się na służbę sztuce, dopóki ona jest umiastowioną.

Sprawę tę podniesiono nawet na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej, usunięto ją jednak z porządku dziennego na wyraźne żądanie pana prezydenta, który oświadczył skromnie, iż nie wypada, by publicznie roztrząsano sprawę umów z artystami i artystkami. Od tego jest komisya teatralna, a ta wie, co robi, w ostatecznym wypadku przychodzi jej z pomocą prezydyum, w którego składzie znajdują się też wybitni znawcy spraw teatralnych (nawet za kulisami!... przyp. zecera).

Skoro już zawadziłem o ostatnie posiedzenie krakowskiej Rady miasta, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wówczas stało się coś, o czem nawet nie śniło się dotąd nikomu. Wiadomo, że Wielki Kraków nazwano swojego czasu „Bazyleą“ na dowód, w jakiej zgodzie żyją ze sobą nad Wisłą pan Bazes i pan Leo. Tymczasem pokazało się, iż tak nie jest, że „coś zepsuło się w państwie duńskiem“, skoro właśnie pan Bazes ugodził pana Lea, i to w najbolesniejszą stronę, bo w emeryturę!... Powiadają, że z ust ekscellencyi wyrwały się tylko owe historyczne słowa: *„Et tu Bazes contra me?“*...

Miało to miejsce z okazyi zawiadomienia prezydyum, iż zniesiono komisarza fortecznego dla Krakowa, że więc wobec tego z praw autonomicznych, przysługujących gminie, będzie się mogło odtąd w całej pełni korzystać. Uchwałom, powziętym w międzyczasie, gdy działalność Rady była po części skrępowaną, nadano teraz, *ex post*, sankcyę autonomiczną, a do nich należały także sprawy podwyższenia pensyi dla pana prezydenta i ustanowienia dlań emerytury. I to właśnie ex-przyjaciel, pan Bazes, poruszył.

Wogóle pan Bazes stał się obecnie opozycyonistą pierwszej klasy, zaraz bowiem potem sprzeciwił się zakupieniu przez miasto przy pomocy Kasy Oszczędności lasu bielańskiego i Panieńskich Skał, gdzie ma powstać z czasem park ludowy. Z jakiego punktu zapatrywania pan Bazes wychodził, tego nie wiem, ale podzielam w zupełności innych zdanie, iż to nie jest żaden interes, jeżeli taki kawał lasu, i to pod samym Krakowem, stanie się własnością gminy i nie będzie mógł uledz parcelacyi!

A sprawa tak się przedstawiała kokosowo...

Na temże samem posiedzeniu zajmowano się też i sprawami aprowizacyi i utworzeniem Urzędu Rady gospodarczej, ale widocznie są to sprawy o drugorzędnem znaczeniu, gdyż zostawiono je na sam koniec posiedzenia, gdy już większość ojców miasta (zwłaszcza tych, co to siedzą pod pantoflem „u matek“, a nie mają klucza od bramy) pędziła w stronę domowego ogniska.

Uchwalono wszystko, ale obrady przeciągnęły się poza godzinę dziesiątą, wobec czego jeden z ojców miasta ma na najbliższem posiedzeniu postawić wniosek, wzywający prezydyum, aby postarało się, ze względu na dobro ogółu, a spokój domowy jednostek, by

1) każdy z ojców miasta otrzymał od swej lepszej połowy prawo noszenia klucza od bramy;

2) w dni, w których odbywają się posiedzenia Rady, wolno mu było bezkarnie po godzinie dziesiątej wieczór powracać pod dach rodzinny, bez obowiązku składania sprawozdań, skąd powraca;

3) wszelkie na tem tle wybuchłe nieporozumienia domowe rozstrzygane były bez prawa rekursu przez komisyę mieszaną, składającą się w równych częściach z PP. radców miejskich i ich czcigodnych małżonek.

Zdaje się, że powyższy wniosek przejdzie jednogłośnie, chyba, gdyby w międzyczasie zmieniono statut miejski i powołano niewiasty w skład Rady, gdyż w danym wypadku posiedzenia odbywałyby się popołudniu, zamiast owych „białych kaw“, które obecnie zniknęły z widowni i utworzyły w życiu każdej niewiasty niczem niezapełnioną lukę.

Powołanie zaś kobiet do wzięcia czynnego udziału w życiu publicznem zdaje się być tylko kwestyą czasu. W Austryi mają one już w najbliższym czasie otrzymać godność sędziów przysięgłych, w Rosyi zasiąść ma kobieta na fotelu ministeryalnym. Kraków, jako wielkie miasto, mające nawet własną operę, nie może wobec tego pozostać w tyle.

Głębsza polityka, której obecnie w każdej kronice staram się poświęcić bodaj kilkanaście wierszy, dała w ubiegłym tygodniu także sporo tematu do różnych kombinacyi. Zwłaszcza ustąpienie Bethmanna Hollwega było roztrząsane bardzo dokładnie, z ogromnem też zaciekawieniem oczekiwano na pierwszy występ jego następcy, dra Michaelisa. Na ogół przemowa jego w parlamencie niemieckim nie wywarła takiego wrażenia, jak się spodziewano. Z Francyi nadchodzi wieść, że pan Poincaré ma zamiar usunąć się w zacisze życia prywatnego i dać spokój polityce, na której nie zrobił szczęścia, poświęcić się zaś tylko swej kancelaryi adwokackiej, którą w ostatnich czasach, mówiąc po krakowsku, „puścił kantem“. Czeka tylko na uchwalenie honorowej emerytury, która umożliwiłaby mu spędzenie bez troski resztki dni żywota. W Rosyi rewolucya, zapowiadają nawet utworzenie dyktatury, w Anglii król Jerzy, by zerwać zupełnie wszelkie nici, jakie go wiązały z Niemcami, zmienił nazwisko rodowe na „Windsor“ i myśli podobno o nowej ofenzywie na zachodnim froncie, prosząc Boga, by wypadła lepiej, niż ostatnia rosyjska w Galicyi, która, wbrew oczekiwaniom koalicyi, zakończyła się odwrotem na całej linii. Nie zdała się na nic pomoc Anglii, Francyi, Japonii i Ameryki, wyprawa na Borysław nie powiodła się w zupełności, nadprogramowo przerwali nadto sprzymierzeni front rosyjski pod Zborowem. Na to nie liczyli zupełnie przedstawiciele koalicyi, dlatego też oświadczają, że nie oni ponoszą winę, jeżeli wobec tego wojna przeciągnie się dłużej. Jeśli atakowali, to tylko w myśli doprowadzenia wojny do końca i umożliwienia zawarcia pokoju, ale takiego, jak oni pragną, skoro im zaś pokrzyżowano zamiary, cała odpowiedzialność spaść musi na mocarstwa sprzymierzone.

W związku z nieudałą ofenzywą rosyjską w Galicyi stać miała i ofenzywa rumuńska, podjęta po porozumieniu się z Brusiłowem. Ponieważ obecnie Brusiłow się cofa, najprawdopodobniej pójdą w jego ślad i Rumuni.

Czy na te wszystkie sprawy miały jaki wpływ plamy na słońcu i ów miesiąc katastrofalnych trzęsień ziemi, tego powiedzieć nie mogę, tak jak nie wiem, czy pod tą rubryką możnaby umieścić nowe pęknięcie rury wodociągowej na Półwsiu Zwierzynieckiem. Pękła jedna z największych, prawie w tem samem miejscu, co poprzednio, narażając Krakowian, przyzwyczajonych do obchodzenia się bez wszystkiego i na kilkodniowe bezwodzie. Zaczęto organizować już ogonki wodne i miano nawet założyć miejskie Biuro rozdziału wody (kartki na wodę są już w druku), na razie przecież zażegnano niebezpieczeństwo przez załatanie dziury i napomnienie rur z urzędu, iż im pękać nie wolno!...

# Zagadki do nagrody.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Makaron posila, gorszy mak, mowa i wici. Ł.

**Logogryf.**
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko niemieckiego kompozytora.

```
□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — — □ —
— — — — □
— — — □ —
— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Postać biblijna. 2. Naczynie kuchenne. 3 Imię żeńskie zdrobniałe. 4. Inaczej piękność 5. Waga złota i szlachetnych kamieni. 6. Angielskie imię męskie 7. Część budynku. 8. Twórca religii. 9. Kraj w Afryce.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ernest podał do lisiej jamy deki. Oboje.

**Łamigłówka historyczna.**
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć, idąc dwa razy z góry na dół, po jednej literze i utworzyć z nich a) nazwisko greckiego polityka, b) nazwisko greckiego filozofa.

Scipio.
Pelopidas.
Drakon.
Marynsz.
Kambyzes.
Katylina.
Sewerus.
Krassus.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kot truje na sejmie Zed.

**Łamigłówka.**
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko słynnego współczesnego pianisty.

```
—ód
– ud
– ak
– ar
– ra
– ok
– ap
– ra
– os
– ok
– nr
—ta
– wś
– oc
```

**Logogryf.**
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół utworzy nazwisko i imię wybitnego polskiego przyrodnika.

```
        □
      — □ —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □
        □
      — □
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ —
      — □ —
        □
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Spółgłoska. 2. Zaimek. 3 Bogini grecka. 4 Pocisk armatni. 5. Współczesny pisarz i uczony. 6 Usposobienie porywcze. 7. Zwierzę, żyjące na północy. 8. Zwierzę ssące, mogące latać 9. Imię żeńskie. 10. Spółgłoska. 11. Okres czasu. 12. Część twarzy. 13 Nazwa świątyni. 14. Dostojnik dworski. 15. Miasto w Bawaryi. 16. Malarz polski. 17 Kwiat. 18 Spółgłoska.

**Zadanie na rozsypane litery.**
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, a, a, ą, c, c, c, e, e, e, ę, h, i, i, i, k, m, m, m, n, ń, o, o, p, r, s, s, t, t, y, z.

**Bilety wizytowe.**
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

TYNFANI RESZTA

SIGA METR.

A. FUM CERATA.

SŁAW R. PUCHACZ

AR. Z KLUG.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

# Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

**Okienko:**

```
B o r e a s z
o     r     u
r     e     z
e r e k c y a
a     c     n
s     y     n
z u z a n n a
```

**Zadanie do przestawienia:** Szczęście tam bywa, kędy bywa trwoga.

**Logogryf:**

```
      P
    ł ł u
  m i e c h
t ę t n i c a
  O ł i m p
    b ą k
      ź
      e
    O k a
  z e c e r
s k r z e l e
r e f l e k s y a
P a s s a w a
  p i ł k a
    b a n
      w
```

**Zadanie do przestawienia:** Miłość bez pieniędzy, wrota do nędzy.

**Logogryf:**

```
B e r t a
r a r ó g
W o ł g a
p o t a s
g o ł ą b
w y r a j
k a j e t
a k o r d
a m p e r
```

**Równanie:**
Gąsawa + siedło + Suworow + skiba = Gąsierowski.
Huta + Paragwaj + Ganges = Huragan.

**Zadanie do przestawienia:** Co ma wisieć, nie utonie.

**Szarada:** Gliceryna.

**Zadanie do przestawienia:** Za prawdę ludzie giną.

**Bilety wizytowe:** Inżynier wojskowy. Architekt. Reporter gazety. Naczelnik stacyi. Komisarz obwodowy.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* D. Łodyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, Scheitel, Buch i Groll w Stryju, B. Książek Miejsce Piastowe, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, E. Bogdalska, Koropuż, J Sosenko Munkacz.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kalinowska Morawska Ostrawa.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.



## W Administracyi Nowości Illustrowanych

**są do nabycia numera Nowości Illstr. z roku 1914:**

**28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 39**

**poszukuje się zaś numerów z tegoż roku**

**38, 40, 43, 47.**



## Do P. T. Czytelników!

Przed wybuchem wojny światowej w r. 1914 rozpoczęliśmy w „Nowościach illustrowanych“ druk wybornej powieści znakomitego naszego pisarza, **A. Gruszeckiego**, p. t.

## „Po ślubie“.

Niestety, z powodów od nas niezależnych, druk jej zmuszeni byliśmy przerwać, obecnie też, gdy okazała się w wytwornem wydaniu książkowem, chcąc P. T. Prenumeratorom naszym ułatwić jej nabycie, weszliśmy z wydawcą w układ — na mocy którego Administracya „Nowości illustrowanych“ sprzedawać będzie zgłaszającym się książkę p. t. **„Po ślubie“ po zniżonej cenie 4 korony,** zamiast ceny księgarskiej **Kor. 5·20.** Na koszta poleconej przesyłki, gdyż tylko za takową przyjmuje Administracya odpowiedzialność, należy przesłać ponadto 70 halerzy.

Zamówienia na powieść **A. Gruszeckiego** kierować należy do **Administracyi „Nowości illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.